Nr. 12. Lwów dnia 15. Czerwca 1890. **Rok I.**



„Gwiazda katolicka“ wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca w objętości 2—2½ arkuszy druku i kosztuje w *Austryi*: całorocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1 zł. 50 ct.— W *Niemczech*: rocznie 12 marek, półrocznie 6 m., kwartalnie 3 m. — W *Francyi, Włoszech, Rumunii* i *Turcyi*: rocznie 16 fr., półrocznie 8 fr., kwartalnie 4 fr. — W *Ameryce* 4 dolary rocznie.

Przedpłatę nadsyłać należy wprost do Redakcyi (*Lwów,* ul. Ossolińskich, l. 11).

Ogłoszenia umieszcza się za opłatą 6 ct. od jednego wiersza. Przyjmuje takowe: administracya „Gwiazdy katolickiej“ i biuro anonsów p. Hub. Friedla w Wiedniu (V. Matzleindorferstrasse Nr. 7).

Reklamacye uwzględniają się tylko w przeciągu dni 14 po wyjściu nru.

Odpowiedzi następują tylko na listy, w których załączone są marki pocztowe.

Rękopisów nie zwraca się. — *Numer pojedynczy* kosztuje 25 ct.

WŁAŚCICIEL, WYDAWCA I ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KS. MARCELI DZIURZYŃSKI.

Przypomnienie.

Z numerem niniejszym kończymy pierwsze półrocze, upraszamy przeto o rychłe nadesłanie przedpłaty na półrocze drugie. **Redakcya.**

Czy świat faktycznie z niczego stworzony został?

(Dokończenie).

Rozpocznijmy od żydów, dawnych tłumaczów Pisma św., u których się żywa tradycya rozumienia tej nauki przechowywała. Rabi Nachmann w swym komentarzu do Genezy pisze: „Niema w języku świętym innego słowa na oznaczenie wyprowadzenia czegoś z nicości, tylko: *bara*„.

Sławny zaś rabin Majmonides, „Orłem Synagogi“ zwany, w księdze „More Nevohim“ uczy wyraźnie: „Słowo: *bara,* oznacza stworzenie z niczego, i to jest jedną z fundamentalnych zasad prawa Mojżeszowego, drugą po wierze w jednego Boga..... O tych wszystkich rzeczach, o ile niebo i ziemię zawierają, użył Mojżesz najpierw słowa: bara, co oznacza rzecz z nicości do bytu przyprowadzić, potem słowa: asah, dla nadania pojedyńczym rzeczom natury przez formy, po trzecie słowa: kanab, dla panowania, jakie Bóg ma nad stworzeniami. A ponieważ to ostatnie słowo oznacza ukształtowanie czegoś z poprzedniej materyi, dlatego położył przedtem Mojżesz dwa inne słowa: bara i asah..... Cały świat, to jest wszystkie rzeczy oprócz Stwórcy, ze zupełnej nicości byt swój od Boga otrzymały, a przed tem sam tylko był Bóg, a oprócz Boga nic wcale, ani Aniołów, ani nieba, ani co się w nich zawiera nie istniało, potem zaś według wolnej jego woli istnieć rozpoczęły i to z niczego“. Podobnież rabi Dawid Kimehi, Obadias Sephoro, Mendelsohn, Salomon Duba i inni. Tak samo rozumieli to słowo najbieglejsi w języku hebrajskim Ojcowie Kościoła. Origenes bowiem pisze: „Marcyonici i Walentynianie przez słowo: „Na początku„ rozumieją materyę niestworzoną. Inaczej jest u nas, którzy wierzymy, że Bóg z niczego rzeczy stworzył, jak matka siedmiu męczenników Machabejskich i Anioł pokuty w Pasterzu uczył“-

Tym zaś Aniołem pokuty jest Hermas, który w dziele swojem „Pastor“ nakazuje: „Przedewszystkiem wierz, że jeden jest, który wszystko stworzył i dokonał, i z niczego wszystko uczynił.“

„Porzuciwszy mądrość świata — pisze Hieronim (ep. 7 de viro perfecto) — która przypisuje początek rzeczy atomom, albo przypadkowi, albo materyi zawsze istniejącej, Boga zaś ma tylko za budowniczego, a prawdziwą przy pomocy Bożej mądrość posiadając, która pozbawiona jest owej głupoty, wyznajmy, że świat z niczego przez Boga stworzony został“.

Podobnież uczą badacze tego języka w naszych czasach. „Nigdzie nie przychodzi słowo: *bara,* pisze Hettinger [1]), na oznaczenie wykonania czegoś z poprzedniego materyału, tylko zawsze oznacza działanie Boże, nadające byt całkiem z niczego, jak to udowodnił Patrizi w dziele „O wykładzie Pisma św. l. II [2])“.

„W Piśmie św. asah nazywa się czynić — pisze żyjący jeszcze Reusch, profesor exegezy na uniwersytecie w Bonn. w znakomitem swem

[1]) Dogmen des Christenthums, I 167. — [2]) Romae 1844, p 5 et seq.

dziele p. t. „Biblia i Natura“ [3]) — jazar, ukształtować n. p. 2. 7. Bóg ukształtował (jazar) ciało człowieka, lecz *bara* nigdy o czynnościach ludzkich się nie używa, tylko o działaniu Boga i przez właściwe stworzenie z niczego. Różnorodne ustępy Pisma św. dowodzące tego, znajdują się w każdym hebrajskim lexykonie i w każdym gruntownym komentarzu Genezy“.

Dlatego we wszystkich następnych wierszach, gdzie jest mowa o ukształtowaniu świata, używa Mojżesz słów: kanah, jazar, asah. Jeżeli zaś, mówiąc o stworzeniu zwierząt, używa także słowa *bara*, lubo ich ciało z poprzedniej materyi wzięte, to dlatego, ponieważ ich życie, czyli dusza prawdziwie z niczego stworzoną została,

„Z czegoż więc Bóg materyę stworzył? — pyta się Knobel.—Według opowiadania Mojżeszowego, z niczego“. Już więc samo słowo, jakiego używa Mojżesz na oznaczenie stworzenia, dowodzi, że świat wszechmocą Bożą z niczego wyprowadzony został.

6. Tem pewniejsi wszakże tej prawdy będziemy, jeżeli wyraz: *stworzył*, nie z osobna, lecz łącznie z innemi słowami tekstu rozważymy. A naprzód powiedziano: „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię“. Te słowa: Na początku, nie mogą mieć innego znaczenia, jak: kiedy ani ziemi, ani nieba, ani materyi żadnej, ani nic prócz Boga nie było, stworzył Bóg, więc z nicości wyprowadził, niebo i ziemię. — Prócz tego w następnych dopiero wierszach opowiada Mojżesz ukształtowanie nieba i ziemi, tu więc nie może być o czem innem mowy, jak o stworzeniu ich materyi z niczego. Dlatego powiada Reusch: „słowo *bara*, wzięte z wyrazem: *na początku*, wyklucza wszelkie inne znaczenie prócz stworzenia z niczego Tak też ten wyraz biorą wszyscy tłumacze Pisma, którzy na to imię zasługują, choćby w swych kierunkach teologicznych nawet tak bardzo się rozchodzili, jak między nowszymi wykładaczami Genezy, Keil i Knobel“.

Ale na tem nie koniec; drugi bowiem jeszcze wiersz brzmi: „a ziemia była pusta i próżna, i ciemności były nad głębokością“ i t. d. Czyż tu nie widzimy, że ta materya nie była jeszcze ukształtowaną, ani wszechświat nie był jeszcze z niej wyprowadzony, bo to dopiero później jest opisane? Cóż więc może słowo: *stworzył*, oznaczać, jeżeli nie jedynie tylko wyprowadzenie choasu, lub materyi pierwotnej z niczego?

Na koniec w rozdziale 2gim tejże księgi, wierszu 3. pisze Mojżesz tak: „Błogosławił Bóg dniowi siódmemu i poświęcił go, iż weń odpoczął, (zakończył stworzenie świata) od wszelkiego dzieła swego, które stworzył Bóg, aby uczynił“. Tu przeciwstawia Mojżesz słowo „stworzył“, wyrazowi „uczynił“, czegoby wcale nie było, gdyby przez pierwsze nie był rozumiał stworzenia materyi z nicości, przez drugie, dalszego jej ukształcenia, utworzenia z niej świata.

[3]) str. 75 i 76.

7. Ta zresztą prawda i to rozumienie Mojżesza znajduje się w całem Piśmie św. tak Starego jak i Nowego Testamentu. W drugiej n. p. księdze Machabejskiej r. 7. w. 28. mówi matka do syna swojego: „Proszę synu! abyś spojrzał na niebo i na ziemię, i na wszystko, co w nich jest, i zrozumiał, iż to Bóg z niczego uczynił“.

Izajasz w r. 41. w. 24. mówi: „Wy z nicości jesteście“. A w r. 43. w. 7. „Każdego, który wzywa imienia mego, ku chwale mojej stworzyłem go, uformowałem go, i uczyniłem go“. Na które to słowa rabin, autor księgi „Korzenie“ pisze: „Stworzyć“ jest z niczego coś uczynić; uformować, jest nadać kształt; uczynić, członkami zaopatrzyć. Najpierw więc stworzyłem go, to jest z nicości dałem mu byt“ (bezpośrednio co do duszy, pośrednio co do ciała) i t. d. „Dawid w psalmie 145 mówi o Bogu; „Który uczynił niebo i ziemię i wszystko, co w nich jest“, a więc i materyę.

W Nowym Testamencie, w Ewangelii św. Jana r. 1. czytamy; „Wszystko przez Niego się stało“, a więc i materya. W księdze objawień r. 4. „Ty stworzyłeś wszystko, i dla woli twojej było (trwało) i stworzone jest“. Sw. Paweł w liście do żydów r. 3. pisze; „Bo każdy dom bywa zbudowan od kogo, a który wszystko *stworzył*, Bóg jest“; gdzie nie tylko mówi o stworzeniu, ale go wyraźnie przeciwstawia budowaniu domu z naprzód danego materyału.

Wiele innych miejsc Pisma ś. opuszczamy, aby nie nużyć czytelnika. Zaniechalibyśmy i dalszych cytat z soborów i Ojców Kościoła, ale ta prawda tak wielkiej jest doniosłości, że albo lepiej jej było nie poruszać, albo wszedłszy w jej rozbiór, trzeba już gruntownie ją udowodnić. Zechce więc czytelnik jeszcze na chwilę w cierpliwość się uzbroić, my zaś sprawimy się, jak będziemy mogli najkróciej.

8. Nie wiele mamy Soborów, stworzenie z niczego określających, ale obejmują one wszystkie czasy chrześcijaństwa. Tak naprzód w „Składzie Apostolskim“, wyznajemy tę naukę słowy: „Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi“. Potem w czwartym wieku na soborze Nicejskim r. 325 we wyznaniu wiary jeszcze dokładniej naszą prawdę ogłoszono słowy: „Wierzę w jednego Boga, Ojca wszechmogącego, Twórcę nieba i ziemi, wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych“. Jaśniej wszakże nad poprzednie wyrokuje o niej Sobór Lateraneński IV. (r. 1215) określając: „Jeden jest wszystkich rzeczy początek, Stwórca wszystkiego, co widzialne i niewidzialne, istot duchowych i materyalnych, który swą wszechmocą razem od początku czasu oboje z niczego wyprowadził, stworzenie duchowe i materyalne, Aniołów mianowicie i świat, a potem człowieka, jako istotę wspólną z ducha i ciała złożoną“. Najdokładniejszą nakoniec decyzyę Soboru Watykańskiego podaliśmy w poprzedniej rozprawie.

9. Pozostaje nam jeszcze przypatrzyć się, jak żywa wiara w tę prawdę, od pierwszych wie-

ków Kościoła między chrześcijanami zawsze kwitnęła.

Niezmierną liczbę Ojców Kościoła moglibyśmy tu na świadectwo stawić, ale to przechodzi zakres niniejszego artykułu. Niektórych przytoczyliśmy już wyżej (5), dla tem większej pewności, położymy tu jeszcze niektórych.

Teofil, patryarcha Antyocheński, żyjący w drugim wieku, w dziele swem: „Przeciw potwarcom chrześcijańskiej wiary“ mówi: „Z najwyższą zgodą wszystkich uczyliśmy naprzód, że Bóg wszystko z niczego stworzył. Nic bowiem współwiecznego z Bogiem być nie może, lecz kiedy sam sobie jest miejscem, i żadnej rzeczy nie potrzebuje, a od wszystkich wieków jest dawniejszym, chciał uczynić człowieka, któryby Go poznawał,. I w tem się właśnie pokazuje moc Boża nieskończona, że z niczego może zrobić, co mu się podoba“.

W trzecim wieku pisze Tertulian: „Regułą wiary jest u nas, wyznawać, że tylko jeden jest Bóg, a nie inny, jak Stwórca świata który wszystko z nicości utworzył, samem tylko słowem najpierw zesłanem.... I co może być nadto mędrszego, jak że wszystko z niczego stworzone? Wszak jak Bóg niezbadany, tak i dzieła jego niezbadane być mają. Lecz cóż niezbadanego w stworzeniu, jeżeli z naprzód istniejącej materyi dokonane zostało, co i człowiek bardzo często robi? Jak więc nie mogło być takiej materyi, tak Bóg z niczego wszystko stworzył“.

Wszystkich nareszcie innych już opuściwszy, zakończymy pięknemi słowy Jana Złotoustego (r. 334—407) w jego Hexahemeron: „Mówić, że to, co istnieje, z niestworzonej materyi zostało uczynione, a nie wyznawać, że z niczego stworzył wszystko Bóg, jest oznaką ostatniej głupoty. Dla tego święty prorok, aby zamknąć usta nierozsądnym, rozpoczął od słów: Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię.... a temi słowy wydziera on z korzeniem wszelkie herezye, które jako kąkol w Kościele wyrosły. Gdyby przeto przystąpił do ciebie Manichejczyk, i utrzymywał, że materya przed stworzeniem istniała, albo Marcion, albo Walentynian, albo poganin, odpowiedz mu: Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię! A jeżeli nie uwierzy Pismu, odwróć się od niego, jako od waryata i obłąkanego. Skoro bowiem kto samemu Stwórcy nie wierzy, ale o kłamstwo Go posądza, na jakież wtedy zasługuje przebaczenie?

„Co zaś nieprzyjaciele prawdy mówią, że niemożliwą jest rzeczą, aby z niczego coś się stało, zapytamy ich najpierw, czy pierwszy człowiek z ziemi powstał, albo zkądinad? Odpowiedzą z pewnością, że z ziemi. Niech nam więc wytłumaczą: w jaki sposób powstaje z ziemi żywe ciało ludzkie? Z ziemi bowiem błoto, cegły, i naczynia garncarskie zwykle się robią, ale w jaki sposób powstaje ciało, kości, nerwy, arterye? Dlaczego jedne części pożywienia zamieniają się w tłuszcz, inne w paznokcie, włosy, i z jednakowej materyi pierwotnej, dlaczego tyle różnorodnych istot (substancyj) własności powstaje? Ale na to (nie przypuściwszy Boga Stwórcy), ani ust nie będą umieli otworzyć. Jeżeli więc tego, na co codziennie patrzymy, wyjaśnić nie umieją, jakżeż tak wielkie dzieło Boże pojąćby mogli, (konsekwentnie, jak mogą powiedzieć, co Bogu możliwe, a co niemożliwe)?.... Nie przypisujmy więc otrzymanych dobrodziejstw naturze, materyi, ale Temu, który ją, aby istniała, z niczego stworzył“.

10. Po takich odpowiedziach Ojców Kościoła dziwić się potrzeba, jak mogą niektórzy, niby to uczeni, ponawiać te same zarzuty, którym od tak dawna i tylokrotnie najgruntowniejszą odprawę dano? Nie pokazujeż to ich niesłychanego obskurantyzmu?!

„Stworzenie z niczego nie da się nawet pojąć, więc jest niemożliwe“, mówią nam jeszcze dzisiaj ci „ludzie, zaprawdę bardzo ciasnych pojęć“. — Jakto nie da się pojąć? Nie możecie tego zrozumieć, że najpierw nic nie było prócz Boga, a potem niektóre rzeczy od razu mocą Bożą rozpoczęły istnieć? Wszak to, a nie co innego oznacza stworzenie z niczego; a co jasno wyrażam, widać, że i jasno z pewnością pojmuję! jak kiedy czego jasno nie rozumię, to i wysłowić się zrozumiale nie potrafię. Toć każdy wieśniak przyzna, iż dokładnie pojmuje, co to znaczy: że najpierw nic nie było, a potem odrazu rzeczy mocą Bożą rozpoczęły istnieć, Niesłychanie więc tępy rozum muszą mieć nasi przeciwnicy, jeżeli tego naprawdę pojąć nie mogą.

Lecz może to im robi trudność: jak mogła wszechmoc Boża z nicości coś uczynić? Tośmy im już odpowiedzieli (IV. 6.), że powinni się zreflektować, iż ta moc Boga jak i Jego natura jest absolutnie nieskończona. Świat zaś skończony być musi (IV. 5), lubo stworzony na to, aby doskonałości Boże opowiadał. Gdyby więc jeszcze z niestworzonej materyi przez Boga był uczyniony, choćby największy, skoro jednak ostatecznie skończony, nieskończoności Bożej w sobie by nie przedstawił. Ale kiedy chociaż skończony, z nicości jednak wyprowadzony został, nieskończoną moc Bożą nam wyraża i głosi, nie naturą swoją, tylko sposobem swego powstania z niczego. Między nicością bowiem, a bytem, nie ma żadnej proporcyi — uczy św. Tomasz I. 45. 5. ad 3. dlatego, aby z nicości coś wyprowadzić, absolutnie nieskończonej mocy Bożej potrzeba; że zaś taka siła jedynie w naturze nieskończonej być może, więc świat lubo skończony, ale że z nicości wywołany, nosi na sobie piętno i nieskończonej mocy i nieskończonej natury Bożej, i nam ją opowiada.

My katolicy pojmujemy te prawdy bardzo jasno i wyraźnie; jeżeli zaś przeciwnicy nasi tego pojąć nie mogą, czy nie chcą, bodajby tylko sami temu winni i odpowiedzialni za to przed Bogiem nie byli.

Czy więc zagadniemy o początek świata tradycyę rodu ludzkiego, czy nauki przyrodnicze, a zwłaszcza, jeżeli zapytamy zdrowego rozumu i Objawienia Bożego, udowadniają nam niezbicie, że świat

faktycznie z niczego przez Boga stworzony został, a prawdziwa religia zawsze to głosząca, nigdy nie przestała być filarem prawdy.

Ks. Michał Gruszczyński.

U BRAMY KLASZTORNEJ.

Przez **Sta. G.....**

(Dokończenie).

Seweryn spędził noc okropną; nagłe zasłabnięcie Bronisi przejmowało go nieznaną mu dotąd trwogą; nie mogąc przez całą noc zmrużyć oka, chciał choć rano spocząć trochę, i właśnie, gdy rzucił się w ubraniu na łóżko, dało się słyszeć pukanie do drzwi i stary kamerdyner stanął na progu, a poprosiwszy Seweryna do pani, oddalił się szybko.

Przerażony młodzieniec, przeczuwając coś złego pobiegł do salonu, gdzie blada i drząca czekała na niego pani domu.

— Bronisia bardzo chora, nie ma już przytomności — rzekła spiesznie, nie witając nawet przybyłego — chciałam pana prosić... Nie dokończyła; Sewerynowi zdawało się, że cały pokój ze wszystkiemi meblami wiruje około niego, chwycił się stołu, zbladł jak trup i zaczął bełkotać jakieś niezrozumiałe słowa. Pani Marya spojrzała na niego przez łzy i rzekła nagląco:

— Domyślam się, jak ci jest drogą Bronisia; ach pomóż mi ją ratować! mnie się zdaje, że bardzo jest źle, ale może się mylę, natychmiast trzeba doktora.

Seweryn odzyskał już zimną krew.

— Rozkazuj pani, wszystko zrobię co w mej mocy, życie oddam, aby ją ocalić.

— Jedź pan sam po doktora, już posyłałam... nie zastano go w domu, ty go sprowadzisz... powiedz jak bardzo chora, może wypadnie posłać do Poznania, po którego z znakomitszych lekarzy.

W godzinę później był przy łóżku Bronisi domowy lekarz pani S. z pobliskiego miasteczka. Orzekł, iż w skutek zaziębienia przyszedł tyfus i radził bardzo zawezwać innych jeszcze lekarzy.

Seweryn przywiózł sam z Poznania trzech najlepszych doktorów, którzy zbadawszy stan chorej uznali go za bardzo groźny. Upłynęło dni kilka w najwyższej trwodze; lekarze zjechali się raz jeszcze i odbyli naradę. Gdy się znaleźli w salonie z nieszczęśliwą matką i Sewerynem odezwał się najstarszy z doktorów:

— Pomoc nasza już niepotrzebna; niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze, ale nadzieję mieć można. Srodki, jakieśmy uradzili zastosuje nasz kolega domowy lekarz pani dobrodziejki; na nas czekają liczni chorzy w mieście, dziś więc musimy pożegnać panią.

Gdy Seweryn odprowadzał odjeżdżających do powozu, szepnął mu jeden z doktorów:

— Chora nie przeżyje nocy, nadziei nie ma najmniejszej... bacz pan na matkę, bo to podobno jedyną córkę traci... Biedny młodzieniec nie słuchał więcej, wpadłszy do domu w sieni spotkał starego domowego doktora; zacny ten człowiek, znający panią Maryą jeszcze dzieckiem, a Bronisię kochając jak córkę, całem sercem dzielił boleść matki i szczerze żałował pieszczotki, jak Bronisię zawsze nazywał.

Spostrzegłszy rozpacz wyrytą na twarzy Seweryna, schwycił go za rękę, pociągnął do ogrodu i rzekł łagodnie:

— Widzę, że wiesz już wszystko; nie pokazuj się w takim stanie matce, biedna kobieta... Po ludzku sądząc, nic jej córki nie ocali, ale ileż to razy, gdy już nauka ludzka nic pomoc nie mogła, Bóg ratował. Ileż razy własnemi oczyma patrzałem na to!

— Doktorze, czy ty sam wierzysz w Boga?

— Młodzieńcze czy ci boleść zmysły pomięszała? — pytał doktor na pół z litością, na pół z oburzeniem.

— Odpowiedz mi czy wierzysz!

— Alboż sądzisz, że ty nie wierzysz? Oszukujesz się sam; w głębi twej duszy spoczywa nieoceniony skarb wiary złożony tam przez Boga; ale tyś go niebacznie fałszywą nauką przyrzucił. Lecz dziś, mam nadzieję, burza rozniesie te nędzne chwasty i skarb odnajdziesz nietknięty.

Seweryn wyrwał rękę doktorowi i jak szalony pobiegł w głąb ogrodu.

Zbliżał się śliczny, cichy wieczór letni. Słońce skryło się już za wspaniałe drzewa parku, ostatnie promienie przedzierając się przez listki, złociły trawy, kwiaty i krzewy, których się dotknęły.

Cisza, nieprzerwana najlżejszym szmerem panowała wokoło; róże, lewkonie, rezeda rozlewały swe upajające wonie; cała natura tchnęła niewypowiedzianym spokojem, uciszeniem i szczęściem.

I w taki to cudowny wieczór, biedny człowiek, król tej ziemi, znalazł się ze swą rozpaczą w tym czarownym ogrodzie. Gdyby dziś szalała burza, łatwiej zniósłby burzę szalejącą w duszy, ale ta cisza, ten spokój i czar, którymi oddychała cała natura, o utratę zmysłów, przyprawiały biednego Seweryna. Uciekł z kwiatowego ogrodu, zdawało mu się, że wśród drzew wyniosłych, gdzie mrok zapadał, będzie mniej cierpiał.

Słońce już zaszło, a on gnany żalem i bezsilną rozpaczą przebiegał gaiki parku; naraz mignęło coś białego w pomroce, zbliżył się, to figura Najśw. Panny; na stopniach leżały jeszcze powiędłe kwiaty zerwane przez niego a złożone ręką Bronisi.

Uczony przyrodnik stanął i wpatrzył się w słodką twarz Boga Rodzicy. Myśli jak błyskawica zaczęły przebiegać przez jego mózg rozgorączkowany: gdzie się teraz udać o pomoc? na czem się oprzeć w niedoli? Nauka! Na co mu się zdadzą wszystkie jego wiadomości? Traci oto co miał najdroższego i nie ma siły, któraby mogła ten skarb zachować! Jestże rzeczywiście człowiek tak bezsilnym? On tak dumny z nauki, jestże igraszką ślepego losu? I nie ma nikogo, ktoby się nad nim zlitował, ktoby się użalił jego boleści?



Pogrzeb zakonnika.

Seweryn chwycił się za głowę i z jękiem runął na zimne stopnie posągu.

Noc okryła go ciemnym swym płaszczem; nie będę więc uchylał wam panowie, zasłony pokrywającej walką, jaka się rozgrywała w tej duszy zbłąkanej, odurzonej powodzeniem i szczęściem.

Słońce już od godziny świeciło na niebie, gdy Seweryn podniósł się ze stopni; ta jedna noc spędzona u stóp Najśw. Dziewicy, wśród śmiertelnego niepokoju, zrobiła go innym człowiekiem. Twarz młodzieńca wyrażała boleść i rezygnacyę; z pokorą i ufnością, spoglądając ku niebu zawołał gorąco:

— Wierzę o Boże, w Ciebie i wiem, że Ty możesz ją ocalić. Następnie zwrócił wzrok na ozłocone promieniami słońca, oblicze Matki Bożej, które zdawało się uśmiechać do niego, wyciągnął ręce, upadł znowu na kolana i modlił się długo; wśród tej modlitwy łkania wstrząsały nim, łzy strumieniem spływały po męzkiej twarzy, a z temi łzami czuł, że spływa reszta rozpaczy, niepewności i gorzkiego żalu.

Z wielką pobożnością ucałował stopy Pocieszycielki utrapionych, powstał z kolan i spokojnie, pełen otuchy wracał do domu. Dawno nie był tak szczęśliwy jak w tej chwili strasznego niebezpieczeństwa utraty najdroższego swego skarbu, i dziś po raz pierwszy poznał, czem jest modlitwa dla wierzącego człowieka.

Gdy wszedł do sieni, pani Marya wyszła natychmiast naprzeciw niemu; nie poznał jej prawie; czy to ta sama kobieta, matka Bronisi, którą piękną i młodą jeszcze, w zwojach niebieskiego aksamitu, z brylantami w bójnych włosach, podziwiał na balu, gdy córka jej, jak biały obłoczek po błękitnem niebie, krążyła dokoła matki? Ta kobieta, wychodząca ku niemu w czarnej sukni niedbale złożonej, z rozrzuconymi włosami, wydobywającymi się z pod czarnej koronki, ta matrona niemłoda, złamana cierpieniem, chyląca się do zupełnej starości, czyż to matka Bronisi? Wyciągnęła do niego rękę i rzekła przerywanym głosem:

Chodź synu... zobacz ją raz ostatni — nim na zawsze nas opuści.... Zapadła w sen, z którego nie zbudzi się, dopiero w niebie....

Matko, nie trać nadziei, Bóg wszechmogący i taki dobry. Weszli do komnatki Bronisi, która biała jak lilia leżała cichutko, jakby już na wieki uśpiona.

Seweryn ukląkł przy łóżku; oczy podniósł na wizerunek Chrystusa rozpiętego na krzyżu i zawołał z mocą:

— Wierzę o Boże mój w ciebie i ufam całą duszą, że nam ją zachowasz.

Chora otworzyła oczy i rzekła z wysiłkiem:

— Powtórz.... pan, czym ja dobrze słyszała?

— Wierzę o Boże, że tylko Ty możesz ją ocalić!

— Dzięki Ci o mój Boże — szepnęła Bronisia ledwo dosłyszalnym głosem, podnosząc oczy na krzyż i z uśmiechem na ustach zasnęła znowu.

Tego samego dnia wieczorem, gdy stary lekarz wyszedł z pokoju chorej, szepnął z radością na ucho Sewerynowi czekającemu na niego:

— Bóg ją uratował, mogę cię dziś zapewnić, że żyć będzie.

Uczony przyrodnik w milczeniu przycisnął rękę doktora do ust i opuścił pokój, szedł do parku podziękować Najśw. Dziewicy, co nie odrzuciła jego modlitwy.

W dwa miesiące później, w piękny dzień wczesnej jesieni, siedziała Bronisia w wygodnym fotelu, na terasie w towarzystwie matki i starego lekarza. Rekonwalescentka blada i smutna trochę, otulona w ciepły niebieski szlafroczek, z roztargnieniem wodziła oczyma po klombach i robotach świeżo rozkwitłybh astrów.

Pani Marya patrzała troskliwie na córkę, nareszcie zapytała:

— Jesteś Broneczko dziś znowu smutniejsza, czy czujesz się gorzej?

— Nie mamo, pan doktor mówi, że jestem zupełnie zdrowa i tylko zanadto mnie pieścisz mamusiu — kończyła z uśmiechem.

Matka pytająco spojrzała na lekarza.

— Tak moje dziecko, zdrowa jesteś, ale choroba pozbawiła się wesołości. Radzę pani — dodał zwracając się do matki — wywieść między ludzi naszą pieszczotkę, aby odzyskała dawny humor. To jest jedyny środek, jaki jeszcze mogę zalecić na uzdrowienie ze smutku panny Bronisławy.

Następnie pożegnawszy panie, odjechał, obiecując swoją wizytę na dzień następny.

Gdy kobiety zostały same, p. Marya wzięła rękę córki i rzekła poważnie:

— Posłuchajno moje kochanie: Spostrzegła-już niewątpliwie, jak bardzo Seweryn jest tobą zaśjęty. Jeszcze w czasie twej choroby, jak tylko niebezpieczeństwo minęło, prosił mnie o twoją rękę; lecz widząc cię ciągle tak dziwnie słabą i smutną, obawiałam się silniejszych wzruszeń dla ciebie. Dziś jednak, kiedy zacny nasz przyjaciel doktor Rarski radzi, abyśmy wyjechały, trzeba dać Sewerynowi stanowczą odpowiedź. Co do mnie, kochane dziecko, z wielką ufnością powierzyłabym mu twoją przyszłość, ale mojem życzeniem nie krępuj się....

Cóż ci jest, — na Boga! Broneczko? — zawołała p. S., widząc śmiertelną bladość córki.

— Nic, mamo, to przejdzie; tak niespodziewanie zagadnęłaś, nie mówmy już o tem, ale jeżeli mama się zgodzi, to jutro gragnęłabym pojechać do Poznania; dobrze mamusiu?

— A dobrze, jednakże.....

Więc jedziemy jutro z pewnością — przerwała Bronisia niespokojnie; a ucałowawszy ręce zdziwionej matki, opuściła szybko taras.

Równocześnie z naszemi paniami stanął Seweryn w Poznaniu. Hrabina Eugenia mając tam różne sprawy majątkowe do załatwienia, wezwała jego pomocy, wiedząc, jak pożądanem będzie dla niego to zaproszenie.

Na drugi dzień po przybyciu do miasta, gdy panie wypocząwszy cokolwiek po podróży, znala-

zły się razem w salonie, Bronisia zaproponowała, aby odwiedzić Urszulanki, które bardzo ceniła i kochała zawsze. Pani S. zgodziła się chętnie i poszła zaraz ubierać się; — hrabina Eugenia, z pliką papieru zasiadła przy stole, rozczytując się w nich pilnie. Bronisia blada i wzruszona, w czarnej sukience, usiadła przy fortepianie i czekając na matkę, próbowała różnych melodyj.

Naraz drzwi się otworzyły i równocześnie z panią Marya Seweryn wszedł do pokoju.

— Może nie w porę przybywam? — zapytał, widząc panią domu i jej córkę ubrane do wyjścia — panie wyjeżdżają?

Jedziemy do Urszulanek — odparła pani S. — ale ciocia chce się z panem naradzić, a my niebawem wrócimy.

— Seweryn niech jedzie z wami, ja przed naradą muszę to wszystko przestudyować — zawołała pani Eugenia, pokazując papiery.

Młodzieniec prosząco spojrzał na panią Maryę, która chętnie się zgodziła na propozycyę cioci.

Tymczasem Bronisia, siedząc dotąd w milczeniu przy fortepianie, uderzyła o klawisze i potok harmonij zalał mały salonik. A cóż to była za muzyka! Panna S. była skończoną artystką, i w grze swej umiała oddawać wszystkie myśli i uczucia tak doskonale, że często w zdumienie wprawiała słuchaczy, lecz dziś przewyższyła samą siebie.

Słuchano jej gry tłumiąc oddech, ale najlepiej zrozumiała ją matka, czuła ona doskonale, że córka jej opowiada całe swoje życie; końcowe ustępy były dla pani Maryi trochę ciemne, samo jednak zakończenie zrozumiała znowu, z pod palców grającej, wypłynęło rzewne a gorące pożegnanie.

Muzyka była skończoną. Słuchacze nie ochłonęli jeszcze z silnego wrażenia, gdy Bronisia blada bardzo, lecz z wyrazem silnego postanowienia w oczach, zerwawszy się od fortepianu dodała:

— Jedziemy mamo, już jedźmy!

— Cóż to za talent — mówił Seweryn z niekłamanym zachwytem — muzyka pani zdumiewała mię zawsze, tak grającej nie słyszałem pani nigdy.

Przybywszy do klasztoru, całe towarzystwo na prośbę Bronisi, udało się do kaplicy. Blada panienka modliła się długo, nakoniec podawszy matce rękę, zaprowadziła do furty dzielącej kaplicę od klasztoru; tu stanąwszy, rzekła poważnie, usiłując pokryć wzruszenie:

— Krótko przed moją chorobą prosiłam P. Boga o pewną łaskę, na której zależało mi więcej, niż na życiu samem, przyobiecując, że skoro zostanę wysłuchaną, całe życie poświęcę Bogu. I mamo droga! Bóg nie odrzucił mego błagania; dziś spełniam moje przyrzeczenie i wstępuję do Urszulanek. Wiem, że pragniesz mamusiu tylko mego szczęścia, więc nie odmówisz swego pozwolenia i błogosławieństwa.

Domawiając ostatnich słów, całowała nogi i ręce matki, a nim ta zdała sobie sprawę z tego, co zaszło, Bronisia zniknęła za drzwiami.

Seweryn, który poszedł za paniami, był świadkiem przemówienia panny S. a widząc, że matka jej szuka oparcia, podał jej ramię i zaprowadził na stopnie ołtarza, gdzie oboje padli na kolana.

Co się działo w ich duszach, nie będę wam opisywał, bo to się wyrazić nie da. Pani Marya, zdawała się modlić, Seweryn był jak piorunem rażony i bezmyślnie przyglądał się ołtarazowi. Jak długo tak klęczeli, nie wiedzieli sami, czy upłynęła jedna chwila, czy całe wieki, nie umieli powiedzieć, żadne nie pomyślało, że odejść w końcu muszą.

Naraz szmer jakiś obudził ich: matkę z modlitwy, Seweryna z odrętwienia. Na progu ukazała się Bronisia prowadzona za rękę przez niemłodą już zakonnicę, która dała znak pani S., aby zbliżyła się do furty; następnie z dobrotliwym uśmiechem mówiła:

— Oddaję pani córkę, która ukończyła już czas próby. Panna Bronisława z dziecięcą ufnością wyznała, na zapytanie Matki Przełożonej, że życie swoje chce poświęcić na wyłączną służbę Bogu, aby w ten sposób podziękować mu, za nawrócenie pewnej ukochanej osoby. Że jednak Pan Bóg w klasztorze chce mieć serca kochające tylko Jego samego — przeto nie możemy przyjąć panny Bronisławy do naszego grona, co nam wielką sprawia przykrość, bo znamy naszą byłą wychowankę, jako najlepszą panienkę, która chęcią wstąpienia do klasztoru, wypełniła już swoje przyrzeczenie.

Powiedziawszy to zakonnica, uścisnęła Bronisię, pani S. skłoniła się uprzejmie i zniknęła za furtą. . . . .

. . . .

Tej samej jeszcze jesieni, w Poznaniu odbył się ślub Bronisi z Sewerynem. Pannę młodą prowadził do ołtarza stary przyjaciel doktor Rarski, a Seweryna, hrabina Eugenia uszczęśliwiona, że najgorętsze a jedyne jej życzenie spełniło się nareszcie",

Tu stary kapitan, spuściwszy głowę, popadł w zadumę, lecz po chwili spojrzawszy na swoich słuchaczy, kończył opowiadanie.

„Widzicie więc moi drodzy, że miałem racyę, twierdząc, jak modlitwa wielką jest potęgą. Wszakże przyznacie mi, że modlitwa Bronisi nawróciła Seweryna, który znowu wymodlił jej życie i zdrowie. Bronisia sama mówiła mi, że składając u stóp Najświętszej Panny kwiaty, ofiarowała życie swoje za niedowiarka, którego duszę pragnęła zbawić, i prosiła Pana Boga, aby pozwolił jej usłyszeć Seweryna mówiącego, że wierzy w Boga, tak jak przed kilku dniami słyszała go zaprzeczającego istnieinia Stwórcy wszechrzeczy. I oto zaledwie tydzień minął, usłyszała jak Seweryn wymawiał te upragnione słowa w chwili, gdy wszyscy sądzili, że Bronisia kona; może to wyznanie wiary przywołało ją rzeczywiście napowrót do życia?"

I znowu zacny kapitan zamyślił się, a gdy milczenie przeciągało się dość długo, zapytał jeden ze słuchaczy:

— Nie znasz, kapitanie, dalszych losów Bronisi i Seweryna, żyjąż oni jeszcze?

— Bronisia umarła przed pięciu laty — mó-

wił kapitan dziwnie wzruszony -- a Seweryn opłakuje do dziś niepowetowaną stratę; abyście mogli mieć choć słabe pojęcie o tem, jak wielką była ta strata, pokażę wam portret tej niezrównanej ostoty.

Wszedł do drugiego pokoju, skinął na nas i ukazał portret naturalnej wielkości, przedstawiający młodziutkie dziewczątko w białej sunni z koroną białych róż na płowych włosach.

— Oto Bronisia — powiedział kapitan, i łzy zabłysły mu w oczach.

— Ależ kapitanie, to przecież twoja zmarła żona, jak mi sam mówiłeś — zawołał jeden z sąsiadów, znający naszego szanownego gospodarza od lat może dziesięciu.

— Tak, Bronisia była moją żoną, a Seweryn Z., ten zapalony naturalista, którego historyę co dopiero słyszeliście, walcząc później za drogą ojczyznę, został kapitanem; a wy łaskawi goście moi, tak oto cierpliwie słuchaliście jego gawędy".

Wszyscy ściskaliśmy serdecznie ręce zacnego starca, on uśmiechał się przez łzy, zasiadł znowu w pośrodku nas, ale tego wieczora już nic nie opowiadał nam więcej.

(Koniec).

Słowa Belgijczyka o kwestyi żydowskiej.

Journal de Bruxelles a po nim i wiedeński *Volksblatt für Stadt und Land* umieścił w swoich szpaltach mowę p. Edmunda Picarda, którą tenże miał w Brukseli na temat środków zaradczych przeciw złym skutkom pomięszania ras: aryjskiej i semickiej.

Połączenie jednej rasy z drugą — powiedział p. Picard, jest źródłem nieporządku w socyalnym organizmie. Chcąc jednak skutki tego zbadać gruntownie, musimy rzucić okiem wstecz, na dzieje narodów. Przypatrzmy się naprzód Hiszpanii.

Kraj ten obserwowany z punktu naszego rozwoju aryjskiego, stoi jeszcze najwięcej w tyle. Utrzymują niektórzy, iż jest to skutkiem klerykalizmu i jego nietolerancyi. Nie jest to jednak żądaną odpowiedzią. Pamiętać należy, iż Hiszpania pozostawała przez siedm wieków pod panowaniem rasy semickiej, a znajdziemy powód jej niższego stopnia wykształcenia. Dlaczegóż właśnie wyszła inkwizycya z Hiszpanii a nie z żadnego innego kraju chrześcijańskiego? Dlaczegóż właśnie w Hiszpanii a nie gdzieindziej, tak długo się utrzymała? I na to pytanie odpowiadają: przyczyną tego klerykalizm! Jeszcze raz powiemy: to nie jest żadną odpowiedzią. Czyż nie mamy więcej powodu wierzyć, iż jest to skutkiem pomięszania ras? W hiszpańskich posiadłościach w Ameryce, widzimy toż samo zjawisko. Kolonie w północnej Ameryce założone przez rasy czysto aryjskie wyprzedziły z naszego punktu rozwoju o wiele kolonie, założone przez rasy mięszane z hiszpańskiej i portugalskiej.

Tak samo przedstawiają się stosunki w południowych Włoszech i Grecyi, które to kraje długo jęczały pod jarzmem Saracenów. Nie na tem jednak koniec.

Jakież są skutki pomięszania rasy aryjskiej i semickiej w dzisiejszej Europie? Przypatrzywszy się tylko pobieżnie dzisiejszemu światu, spostrzeżemy uderzające zjawisko: *skoncentrowanie pieniędzy* w ręku semitów. H. Robert (przeciwnik Picarda) powiedział, iż nie ma wcale kwestyi semickiej, lecz istnieje tylko kwestya żydowska. Byłoby to prawdą, gdyby żyd nie był semitą. Zmienił on się nieco pod wpływem naszej cywilizacyi, ale mimo to jest i pozostanie semitą. W gruncie rzeczy wziąwszy, różnica między żydem a Marokaninem nie jest większą niż między Niemcem a Włochem. Jestto jedna i ta sama rasa z małą różnicą. Po zburzeniu Jerozolimy rozpierzchli się żydzi i tym sposobem usunęli się z pod wpływu islamu. Gdyby zaś byli pozostali w Judei, byliby się stali bez wątpienia muzułmanami. Chcąc ich osądzić, trzeba im się przypatrzeć, jakimi są w swojej ojczyźnie a nie pomiędzy nami.

Skoncentrowanie pieniędzy. — Mówiono, iż nie jest to na czasie, wyprowadzać tę kwestyę na porządek dzienny. Według powszechnego sądu, istniała ona niegdyś u nas. Mimo to nie widzimy powodu stawiania zaporu rozwiązaniu tej kwestyi. w całej Europie widzą to niebezpieczeństwo i omawiają tę kwestyę.

Dalszym punktem jest *panowanie przez prasę*, którą odwraca się przez to od przeznaczonego jej zadania, aby mogła odpowiedzieć wielkości swego przeznaczenia. Niebezpieczeństwo to nie jest może jeszcze u nas tak wielkie jak gdzieindziej. Trzeba jednak i tu mieć się na ostrożności. Na publicznych urzędach nie zasiadają wprawdzie żydzi. To prawda; aby jednak politycznie krajem jakimś zawładnąć nie trzeba koniecznie zawładnąć izbą sądową. „Światem — powiedział Disraeli, rządzą niewidoczne sieci, o których nikt nie ma pojęcia". We Francyi poczynają mówić: Żydzi prowadzą nas na sznurku. To, co widzimy, jest tylko laterna magica nowoczesnego życia. W r. 1840 — rzekł Rotschild: nie będzie wojny, nasz dom jej sobie nie życzy!

Pośredni wpływ wielkiem jest niebezpieczeństwem! W Austryi oświadczył nawet pewien członek rady: „Jeżeli tu chrześcijanie nie mogą dłużej wytrzymać, niech wyemigrują!" Nie chodzi tu o napaść na żydów, lecz o przeszkodzenie, aby nami nie rządzili. Jest to ruch skierowany ku własnej obronie.

Musimy ratować naszą niezależność, za którą walczyli i cierpieli wszyscy, wielcy i mali, i za którą nawet niektórzy życie swe położyli. Czy chcielibyście mieć żydowski stan urzędniczy, żydowski senat, żydowski parlament? Czyż nie drżycie na myśl o tem? Podnoszono często zarzuty przeciw tajemniczemu wpływowi Jezuitów. Jezuici przecież pochodzą z tej samej rasy, co i my. A mielibyśmy się dać opanować żydom? Cieszyłbym się, gdyby

mi ktoś z obrońców semitów sprzeczność tę wyjaśnił.

Jest tylko 20 milionów żydów. Cóż znaczy ta liczba? Czyliż Hindostanem nie zawładnęło 50.000 Anglików? Rotshschild paryski ze swoimi olbrzymiemi kapitałami jest potężniejszy, niż tysiące paryskich robotników, gdyż on lepiej uzbrojony, czynić może, co chce.

Zarzucają nam, iż są także wielkie kapitały aryjskie. Tak jest; przykład żydów odniósł swój skutek. Balzac miał bez wątpienia słuszność, mówiąc: „Nie wszyscy żydzi są w Izraelu, lecz wogóle są to tylko wyjątki; regułę stanowią żydzi".

Oto są skutki pomięszania ras: Ucisk, gdy pomięszanie dokonanem zostało, niebezpieczeństwo w każdym czasie!

A środki zaradcze? Trudne zadanie! Powiedziano, iż na zagadkę tę nie ma rozwiązania. Cromwell rzekł; „Musimy wiedzieć, czego wiedzieć nie chcemy". Druga część znajdzie się sama. Cóżbyście odpowiedzieli człowiekowi, który rzekł do was: Chcecie przytłumić cholerę? Cóż postawicie na jej miejscu? Cóż uczyniono w przeszłości?

To prawda, wszyscy ludźmi jesteśmy. My aryjczycy jesteśmy wspaniałomyślni, chcemy braterstwa. Semici go nie pragną. Nie bądźmy takimi jak oni, lecz bądźmy roztropnymi. System chrześcijański głosi: nawrócenie się.

Chrześcijanie uważają żydów za lud wybrany. Mowca cytował tu miejsca z Bossueta, Lacordaira i Veuillota o nawróceniu żydów. Nigdy — mówił dalej — nie należy zapominać o tym systemie chrześcijańskim, tak braterskim, jak sobie tylko tego życzyć można. Mamy wszyscy przyjaciół, którzy są żydami. Wszystko to prawda, ale nie możemy dozwolić im się opanować. Dla tego zaś punktu widzenia nie wystarcza system chrześcijański.

Inni mówią: Zostawmy rzecz swojemu rozwojowi! przyjdzie czas, w którym aryjczycy i semici będą tworzyć jedną tylko rasę, gdzie nie będzie ani aryjczyków ani semitów. Być może. Lecz czyż mamy czas oczekiwać tego? Od 1800 lat żyją w pośród nas i zachowali swoją właściwość. Oni się nie mięszają: pozostają wyłącznie w pośród siebie; podczas gdy my oczekiwać będziemy, skupią oni masy pieniężne i dziennikarstwo w swoich rękach. A zresztą, czy semita wogóle może się zmienić? Ich psychologia pozostaje niezmienną i opiera się każdej zmianie, podobnie też utrzymuje się ich typ fizyczny. A nawet przypuściwszy możliwość zmiany, nie mamy czasu na oczekiwanie.

Wyemigrowanie? w starożytnych czasach przesiedlano całe narody. Czyliż senat w Stanach Zjednoczonych nie zajmował się sposobem przesiedlenia gdzieindziej wszystkich murzynów, gdy państwu z ich strony groziło niebezpieczeństwo?

W Hiszpanii wypędzono żydów za czasów Filipa i Ferdynanda. Wypędzenie to przedstawiono jako akt fanatyzmu. Biorąc jednak rzecz w ogólności i przypatrzywszy się jej początkowi, cyliż nie będziemy zmuszeni wyznać, iż był to akt wielce polityczny, może surowszy i nie zupełnie sumienny, lecz zbawienny. Mówiono o odbudowaniu państwa judzkiego. Odbudowanie to zdaje się być rzeczą niemożliwą, podobnie jak i wypędzenie żydów, czemu sprzeciwia się wspaniałomyślność charakteru aryjskiego. Wogóle minęły te czasy, w których zwycięzcy wypędzali podbite narody z ich siedzib; należy przeto pominąć trudności polityczne.

Jest tylko jeden środek zaradczy, a rozwiązanie pocieszającem jest dla tych, którzy wierzą, iż stoimy przed wielkimi przewrotami — reformy sosyalne.

Mówimy zawsze o fabrykach; należałoby jednak także zająć się giełdą. „Rewolucyoniści", mówi Borde, „zatrzymują się w połowie drogi. Zajmują się oni zgubnym wpływem maszyn; nie, powinni się oni zajmować wielkimi bankami. Giełda jest piekłem, które usunąć trzeba". Ruch antisemicki uzupełnia kwestyą socyalną i wskazuje na to, iż zważa się tylko na maszyny i fabryki. a pomija się połowę kwestyj i zapomina o giełdzie.

Reforma socyalna zada cios monopolowi pieniężnemu — oto jest jawny cel ruchu socyalnego i nasz środek zaradczy.

System feudalny jest dziś podwójny: Fabryka i pieniądz. System feudalny pieniężny przedstawia żydowstwo. W tem też wielkie dla systemu tkwi niebezpieczeństwo. Pamiętajcie o tem, bracia izraelscy; jeżeli nie przyjdzie do pokojowego rozwiązania, grozi wam niebezpieczeństwo. Nie rozpoczynam przeto walki z wami; mówię tylko prawdę. nad którą warto się zastanowić. Jeżeli Izraelici będą umieli usunąć monopole, które sami stworzyli, wówczas nie będzie już żadnej kwestyi antisemickiej.

Aryjczyk nie da się wprawdzie sprzedać, jest jednak skrępowany i przyciśnięty przez pana kapitału, przez żyda. Żydzi tłoczą się wszędzie zanadto naprzód; miejmy się więc na baczności. Nie dozwalajmy im lekkomyślnie mięszać się do rzeczy, które nas obchodzą.

„Kwestya socyalna i kwestya żydowska", powiedział de Bonald, „są to może dwie najważniejsze kwestye, jakie w ogóle istnieją". „Jak długo ludzie zajmujący się kwestyami, nie studyowali żydów", mówi Drumont, „na nic się zdały ich trudy"!

Baczność!

Dnia 22. maja b. r. zawiązało się we Lwowie nowe Towarzystwo „**Przyjaciół oświaty ludowej**", które za pomocą czytelni, wydawnictwa, zapomóg i własnego organu, zamyśla szerzyć(?) oświatę (?) w śród ludu. Jaka to będzie oświata, t. j. w jakim kierunku zamyślają inicyatorzy tego stowarzyszenia oświecać nasz lud, można łatwo się domyśleć, jeżeli się zważy, że kierownictwo tej nowej instytucyi objął p. Bolesław Wysłouch, współwłaściciel „*Kuryera Lwowskiego*" i redaktor „*Przyjaciela ludu*", człowiek, jak pisze „*Kraj*" wybitnych przekonań demokratycznych(!), a my do-

damy i wcale niekatolickich. Na pytanie: dlaczego obok tylu już towarzystw powierzonych krzewieniu oświaty ludowej, powstaje nowe, oświadczył p. Wysłouch iż oświata, wedle dotychczasowej mody udzielana ludowi, wbrew swemu zadaniu ścieśnia (? p. red.) umysłowy horyzont ludu, szczególnie w *kierunku przyrodniczym* i historycznym. Często — są dalsze jego słowa — rozpowszechnia się wśród włościan wiadomości wprost sprzeczne z przyczynowem źródłem zjawisk przyrodniczych.... itd.". Widać z tego, iż p. Wysłouch pragnie pouczać lud, iż owem przyczynowem źródłem różnych objawów w przyrodzie, nie jest Bóg, jak uczy religia chrześcijańska, ale natura, według katechizmu materyalistów i ateuszów.

Nie uprzedzamy wypadków, ale sądząc „*z Kuryera Lwowskiego*" i „*Przyjaciela ludu*", w których redagowaniu nowy ten trybun ludu ma nie małą cząstkę, możemy łatwo wywnioskować, jaki cel postawiło sobie Towarzystwo p. Wysłoucha i nie omylimy się, gdy powiemy śmiało, że nowi ci przyjaciele ludu pragną wyrwać z serca jego wiarę, wpoić weń materyalistyczny pogląd na świat i w końcu przysposobić wygodny teren dla socyalistycznych idei.

Smutna to rzecz, że w ojczyźnie naszej poczynają się rodzić już tego rodzaju krzewiciele oświaty ludowej i że na to wszystko patrzymy dziś obojętnem okiem, czego dowodem ta okoliczność, że nasze pisma polskie stojące nawet, jak się same chlubią, na gruncie katolickim, tak mało wspomniały o tem nowem stowarzyszeniu i nie ostrzegły przed jego zgubnymi zamiarami, a przecież wypadało, prócz kronikarskiej wzmianki o tym fakcie, dodać choćby małe objaśnienie o kierunku związku, ku przestrodze ludu, by się strzegł fałszywych proroków, którzy na zewnątrz udają przyjaciół jego, a wewnątrz pełni są najzgubniejszych zamysłów.

W imię więc powszechnego dobra, w interesie wiary naszej św., ostrzegamy zawczasu wszystkich katolików, szczególnie tych, co mają bliższą styczność z ludem, by wedle wszystkich sił swoich starali się odwodzić go od tego stowarzyszenia, objaśniali o jego celu i nie dozwalali, by w czytelniach ludowych pojawił się projektowany organ czyli nowe pismo wyszłe z łona tych świeżych przyjaciół (?) oświaty ludowej. *X.*

Potrzeba utworzenia
katolickiego „Centrum" w Austryi.

Każden katolik głębiej się zastanawiający nad stosunkami austryackimi, przyzna, że bezsilność i zwątpienie, opanowały w ostatnich czasach umysły katolickie w Austryi. W całej pracy katolickich członków parlamentu, piszą *Hist. polit. Blätter*, brak jednolitości, tak, iż można śmiało powiedzieć o całem tem stronnictwie, że ile w niej głów, tyle myśli, a przytem nie ma ono żadnego wodza, żadnej podpory, więc jakżeż może działać skutecznie? Lecz nie traćmy nadziei! Oto z zrządzenia Opatrzności Boskiej jasny promyk przedarł się przez tę duszną atmosferę, i wniósł światło wpośród ciemności; jest nim znana deklaracya Biskupów skierowana przeciw owemu rakowi, który od dłuższego już czasu toczy serca katolików. Że to wystąpienie Biskupów było zupełnie na czasie, to już poznać można, z owego hałasu, jaki z tej przyczyny podniosła cała prasa żydowska. Gdyby szkoła wyznaniowa nie sprzeciwiała się ich żądaniom, z pewnością nie wrzeszczałyby one tak, jak to nie dawno się stało. Znak to najlepszy, że takiej szkoły Austrya koniecznie potrzebuje.

Monarchia Habsburgów posiada bowiem w obszarze swym, 96 prc. katolickich mieszkańców, których przed 20 laty obdarowano prawem szkolnem, wprost sprzeciwiającem się prawom Kościoła i dano nauczycieli nie bardzo przychylnie, a często wrogo usposobionych dla wiary chrześcijańskiej, do rąk zaś ich dzieci, podano książki, z których z pewnością dziecię nie zaczerpie miłości ku Bogu ani się przejmie poczuciem spełniania obowiązków względem Niego. — Wszystko to jest dziełem pseudoliberalizmu, a raczej masonii, po części zaś i intryg żydowskich, tych odwiecznych wrogów Chrystusowej wiary.

Czyż przeto katolicy austryaccy mają zostawać w bezczynności? Czy przystoi wyznawcom Chrystusa pozwalać na takie obelgi rzucone na Biskupów i na naruszanie najśw. uczuć, tudzież praw odnoszących się do wychowania dziatek? — Ależ byłoby to zaparciem się Mistrza Bożego, bezczynnością godną wszelkiej nagany, a nawet pogardy. Do walki nam tedy stanąć należy w zwartym szeregu przeciw wrogom naszej religii świętej.

Najwyżsi dostojnicy Kościoła naszego wywiesili już sztandar bojowy i swym przykładem dają nam zachętę, byśmy śmiało stawili czoło tej hydrze szkół bezwyznaniowych i szli z nimi razem do boju o sprawę świętą, żywotną. Żądania Biskupów nie mają w sobie nic wygórowanego, bo zawierają tylko najsłuszniejsze nasze pragnienia, które żywić powinien każdy wierny syn katolickiego Kościoła. Dzielnie się spisali nasi wodzowie, ale wódz sam nic nie zrobi bez pomocy wojska. Takie wojsko pomocnicze powinni utworzyć wszyscy katolicy austryaccy, bez względu na to, jakiej są narodowości i jakie mają zapatrywania polityczne. Narodowość i polityka zajmuje bowiem drugie miejsce w szeregu naszych powinności; pierwszym obowiązkiem katolików jest trotkliwość o dobro Kościoła św. o wiarę św.

Śmiało tedy mówimy, że każdy, czy to Polak, czy Niemiec czy Czech, który występuje przeciw szkole wyznaniowej i nie myśli popierać Biskupów, nie jest katolikiem prawdziwym ale tylko udanym, a opozycya przeciw deklaracyi biskupiej, jest wielkiem zawinieniem wobec Boga i Kościoła!

Wobec zaś tego faktu smutnego, że słuszne domagania się katolików wyrażone przez usta ich Arcypasterzy, nie wszędzie znajdują poparcie, nie

pozostaje nic innego dla wiernych i prawdziwych synów kościoła św., jak starać się o utworzenie w parlamencie stronnictwa czysto katolickiego, innemi słowy, o utworzenie *Centrum*, któreby broniło praw naszych. Nie zadługo nadejdą *wybory* do Rady państwa, otóż świętym jest obowiązkiem wyborców, kierować się przy wyborach nie jakąś stronniczością lub innymi względami, ale przedewszystkiem obowiązkiem sumienia i dawać głos temu tylko, który da gwarancyę, że będzie pracował nad przeprowadzeniem żądań Biskupów. Wszelki wzgląd na przyjaciół, język, narodowość, musi ustąpić przed najświętszym obowiązkiem wystarania się o szkołę taką, któraby wychowywała młodzież na dobrych katolików.

Mamy się więc starać o katolickie *centrum*, a jakiż będzie jego program? Jedno słowo: *chrześcijański* – określa dokładnie cały jego program, i który zapewnić nas może, iż członkowie tego stronnictwa pracować będą gorliwie nad odnowieniem życia chrześcijańskiego w monarchii austryackiej.

Takie „centrum“ chrześcijańskie zrobiłoby wiele dobrego dla ludów Austryi, gdyż pierwszą zasadą chrześcijaństwa jest *sprawiedliwość* dla wszystkich narodowości i obrona praw Kościoła. Wystarczy tylko zwrócić oko na działalność *Centrum* pruskiego, a wszelkie zarzuty wobec małoduszności naszej zniknąć muszą.

Powie nam kto może, że ono wcale *niepotrzebne*, boć przecież nie mamy tu praw majowych, nie zamykają nam kościołów ani zamykają księży w więzieniach! Prawda, ale za to mamy jeszcze gorszego wroga, a jest nim liberalizm żydowski, który swym tchem trującym, sprowadza coraz większą demoralizacyę społeczeństwa i wyrywa Kościołowi coraz więcej dzieci przez swój system szkolny, prowadząc je na bezdroża niewiary. I w Niemczech w samych początkach zawiązania się *centrum* tak samo mówiono, i tam krzyczano na katolików, nic nie zrobicie, porywacie się z motyką na słońce, a jednak nie sprawdziły się te smutne, nieżyczliwe przepowiednie, i dziś *centrum* niemieckie zyskało sobie powagę nawet u swych przeciwników, a rząd nawet myśli się na niem oprzeć. Początek będzie trudny, ależ przecież tak być musi i tak zawsze bywa przy każdej sprawie, tembardziej takiej świętej, jaką jest obrona praw Bożych i Kościoła. Ta trudność początkowa nie powinna odbierać otuchy katolikom, ani ich przejmować trwogą, że w razie utworzenia się *centrum* rozbije się prawica i zachwiane zostaną dotychczas uzyskane prawa. Cóż nam katolikom te prawa przyniosły? Jakież korzyści odnieśli katolicy od czasu, kiedy prawica objęła ster rządów? Rozpadnie się wówczas prawica i lewica przyjdzie do steru, straszą nas przeciwnicy *centrum*, a wówczas będzie jeszcze gorzej, niż teraz. Dobrze, ależ wtenczas przynajmniej sprawa się wyjaśni i nie będzie już tej połowiczości, tego strachania się przed liberalizmem, dla którego poświęca się nieraz prawa Kościoła i najświętsze interesa katolickie. Czyż na to potrzeba dowodów? Ależ pierwszy lepszy przykład tu wystarczy! Dzisiaj n. p. nie w jednem już miejscu musi Kościół udzielać swego błogosławieństwa i po chrześciańsku grzebać takich, którzy w swem życiu byli największymi jego wrogami, a to wszystko dlatego, by się nie narazić liberałom.

Taka bojaźń jest stokroć gorszą od otwartej walki, w której choćby upadli katolicy, przecież nie byłoby to dla nich hańbą ale owszem zaszczytem, że polegli na polu walki, lecz nie pozwolili na gnębienie swego Kościoła. Taka walka otworzyłaby tylko oczy katolikom i niejednego obudziłaby z obojętności dotychczasowej.

Pozostaje nam więc tylko: *albo* pozwalać dalej na coraz większy upadek wiary i dla miłej zgody (?!) poświęcanie najżywotniejszych spraw Kościoła, *albo* stanąć z otwartą przyłbicą do walki, usunąwszy na bok wszelkie osobiste interesa i względy.

Pierwsze jest hańbą dla każdego katolika, drugie przynosi mu zaszczyt i jest zarazem jego najświętszą powinnością. *Sapientibus sat!*

Nowiny z Damaszku.

W poprzednim numerze (*w Kronice*) wspominaliśmy o petycyi żydów belgijskich do Ojca św., aby on z wysokości stolicy swojej zaprzeczył rozsiewanym podejrzeniom, że żydzi do celów i praktyk swych rytualnych potrzebują krwi chrześcijańskiej. Jestto ze strony żydów chwalebnie, jeżeli twierdzenie to jest urojeniem, że uciekają się pod skrzydła powagi Głowy naszego Kościoła; ale z drugiej strony pojawiają się od czasu do czasu fakta, które zdolne są zachwiać wiarę w niewinność żydów pod powyższym względem, fakta, które chociaż sądy zwykle na korzyść żydów rozstrzygają, budzą mimo wyroków sądowych pewne powątpiewanie. O świeżym podobnym wypadku donosi „Vaterland“ wiedeński — a przecież pismo to poważne i plotkami się nie bawi. Że inne dzienniki stojące przeważnie na żydowskim żołdzie, nic o tem nie mówią, toż nie dziwna. Rzecz się działa przed Wielkanocą w Damaszku.

Zginął tam katolicki chłopczyk i podejrzenie padło na żydów. Chłopczyk ten tego dnia prosił matkę, by mu pozwoliła pójść odwiedzić pewną śpiewaczkę żydówkę — Reginę imieniem, która często bywała w domu jego rodziców i chłopcu niezwykłą okazywała życzliwość. Matka nie pozwoliła na tak dalekie odwiedziny, a natomiast poleciła mu udać się w sąsiedztwo. Chłopczyk poszedł i już nie wrócił. Ostatni raz widziano go na drodze ku domowi zamieszkanemu przez rodzinę Reginy. Nieszczęśliwa matka po daremnych poszukiwaniach wpadła na myśl, że żydzi za pomocą Reginy, dziecię porwali i zamordowali. Pogłoska ta rozeszła się po mieście i powstał rozruch. Zrozpaczona matka udała się do walego z prośbą, aby przedsięwziął kroki celem poszukiwania dziecka, ale została przez

niego odepchniętą; kiedy jednak wzburzenie umysłów wzrastało, wali widział się zmuszonym do rozpoczęcia śledztwa i wydelegował komisyę, która miała robić poszukiwania za dzieckiem. I o dziwo! Komisya ta skierowała swoje kroki wprost do domu pewnego dorożkarza i u niego w wozowni znalazła tłumok, a w nim trupa dziecięcia zaginionego.

Dorożkarz zdziwił się niepomału, a przesłuchany opowiedział, że kilka dni temu przybyła do niego Regina śpiewaczka z kilku innemi osobami (żydami) i zgodzili u niego wozy na wycieczkę, przyczem mieli ze sobą kilka tłumoków. Spostrzegł wprawdzie przy pakowaniu, że brakło jednego pakunku, ale ponieważ właściciele z tego tytułu nie podnosili żadnych zarzutów i on był spokojny. Wycieczka ta trwała zresztą bardzo krótko. Sądowe oględziny zwłok okazały, że na prawem ramieniu żyła była przecięta; lekarze ramię to amputowali, jako corpus delicti do przyszłego śledztwa. Gdy się jednakże o takim rezultacie dowiedział p. wali, rozgniewał się mocno, dziecię razem z ramieniem amputowanem pochować rozkazał, śledztwo zakończył i surowemi karami zagroził, by historyi tej więcej nie poruszać. Teroryzmem zmusił wprawdzie ludzi do milczenia, ale opinia powszechna w Damaszku potępia postępowanie jego i głośno go oskarza, że się dał żydom przekupić, a żydów, że popełnili rytualne morderstwo.

Czy ten fakt sam, czy postępowanie władz tureckich nie podsyci więcej wiary w morderstwa rytualnie dokonywane przez żydów — zamiast ją osłabić — nie trudno osądzić. Właśnie żydzi, jeżeli takiem podejrzeniem czują się pokrzywdzeni, wołać o proces i śledztwo powinni, by ich niewinność wyszła na jaw, a nie szukać w teroryzmie władz jedynej zasłony. — Nie wyjaśniona sprawa więcej im zawsze przyniesie szkody, wzmoże podejrzenie, no i co za tem idzie — nienawiść.

List J. E. ks. Kard. Lavigerie

do dyrektorów „Stowarzyszenia rozkrzewiania wiary“ o niewolnictwie w Afryce.

(Ciąg dalszy).

Podobne sceny opisuje nam Kameron:

Handlarz Koimbra — pisze on w sojem dziele „A travers l'Afrique“ — przybył po południu z 50 kobietami skutemi razem po siedmnaście albo ośmnaście. Wszystkie te kobiety obładowane były wielkiemi ciężarami; owoc to zdobyczy ich pana.... W dodatku do tych ciężarów niektóre niosły dzieci, inne zaś niezadługo miały zostać matkami. Biedne istoty zmęczone z pokaleczonemi nogami, wlokły się zaledwie. Ciało ich pokryte ranami i bliznami wskazywało, ile ucierpiały od tego, który się ich „panem“ teraz nazywał.

Nieszczęść, nędzy i liczby pomordowanych dla zdobycia tych kobiet niepodobna opowiedzieć. Trzeba widzieć, aby zrozumieć, a mieszkańcy ucywilizowanych krajów Europy nie uwierzą nigdy opowieściom naszym, o popełnianych zbrodniach we wnętrzu afrykańskich krain.

Niechże z tego bodaj, biorą sobie miarę i wyobrażenie. Aby otrzymać tych pięćdziesiąt kobiet, zniszczono 10 wsi, z których każda miała od 100 do 200 dusz: razem więc około 1.500 mieszkańców! Niektórzy zdołali uciec, większa część jednak a może nawet wszyscy, zginęli w płomieniach; broniący swoich rodzin zostali zabici, a ci co się schronili w zarośla, znaleźli śmierć głodową, jeżeli wpierw dzikie zwierzęta nie skróciły ich cierpień.

Na innem jeszcze miejscu poświadcza okrócieństwa bez liczby tychże karawan, a są to napotykane na drodze szkielety, jarzma, łańcuchy i obroże niewolników. Z tego można sądzić o liczbie trupów, które tam za nimi pozostały.

Cmentarzyska i wielka liczba kości świadczyły o ilości ofiar, które zginęły w tem miejscu.

Dyby zaś i jarzma jeszcze wiszące na szkieletach lub obok leżące, wskazywały, że to są szlaki kupczących takim jak oni człowiekiem! Na drzewach wisiały inne narzędzia mąk, a między temi niektóre tak mało nadpsute, że zaledwie od miesiąca się znajdować mogły. Odebrano je ludziom zbyt osłabionym, gdy już nie można było obawiać się ich ucieczki, ale w nadziei, że owa odrobina sił, co już im nie dała udźwignąć łańcuchów, pozwoli jeszcze nieszczęśliwemu towarowi dociągnąć do wybrzeża.

Tak się dzieje w karawanach lądowych, które prowadzą swych niewolników na targi wewnątrz kraju lub na wschodnie wybrzeża, zkąd ich posyłają do Turcyi azyatyckiej — a w takim razie męczarnie ich nie kończą się jeszcze.

* * *

Wiedzą już teraz ludzie, co się niegdyś działo na pokładach owych wielkich statków, co przewoziły niegdyś niewolników do plantacyj Ameryki; są to opowiadania i opisy komendantow strażniczych statków angielskich z nowszych już czasow. Zdarzenia, których byli świadkami, przyczyniły się do zniesienia niewoli w koloniach.... Los atoli niewolnika gorszym jest jeszcze, jak się pokazuje, na łodziach arabskich. Wspomina o tem coś list Mgra Bridoux; ale nie chcę się ograniczać listem Biskupa, według planu, jaki powziąłem; przytaczam znowu ustęp z pism człowieka świeckiego i protestanta, Kamerona. Tak on mi pisze jeszcze:

Widziałem niewolników na arabskich „dahuach“ czyli łodziach, skulonych, z brodą wspartą na kolanach, okrytych ranami, umierających z pragnienia, zmarłych powiązanych z żywymi, a w dodatku, jakby niedość było tyle nędzy — ospa przyłączyła się do nich.

* * *

Przybyli nareszcie do celu tej nieszczęśliwej podróży; zaczyna się teraz „trzeci akt“ żałosnej tragedyi: to — targi!

* * *

Rzecz prosta, iż o takowych, gdzie sprzedaż potajemnie się odbywa, ze szczegółami mowić nie

będę. A to się dzieje w Turcyi azyatyckiej. Tam władze są umową związane, a tym sposobem nie mogą publicznie gwałcić zobowiązań uroczyście danych Europie. Drogami nieznanemi Europejczykom, karawany dostają się do wielkich miast i to zwykle nocą. Schweinfurt wspomina o tych wyjątkowych drogach, nie tylko w Arabii ale i w Egipcie. Oto co pisze:

Trzy linie handlowe niewolników w krainach Nilowych, zajmujących całą północnowschodnią część Afryki, są: wielki gościniec handlowy samą rzeką Nilem, morzem Czerwonem i drogi karawanowe przerzynające wschodnie pustynie Nilowe, sięgające aż po Sijut albo nawet aż niemal do samego Kairu. Te ostatnie drogi tak mało są znane, że gdy w 1871 r. konwój składający się z dwóch tysięcy niewolników, przybył z Wadaj'u w okolicach Fizeh'u (dzie się rozdzielił na rożne strony, równie tajemniczo, jak był przybył), dopiero się później o tem dowiedziano. Otóż te drogi mało znane, więcej są uczęszczane od dwóch innych, a do tego z dniem każdym coraz więcej, ponieważ nikt im nie przeszkadza tamże. Trudniej jest kontrolować pustynię, niż nawet sam ocean...

Kiedy takie karawany przybywają na miejsce, gdzie domy przechowują niewolników i dokąd kupcy udają się, by oglądać ten towar, tak samo jak się ogląda bydło na targowiskach naszych, naprzód jest wskazane cichaczem. Na dany znak każdy idzie na ten tajemniczy targ. wybiera, płaci w przecięciu 1.500 franków za sztukę, co na targach wewnątrz Afryki kosztowało od 30 do 50 franków i uprowadza z sobą: kobietę do haremu, mężczyznę do robót domowych lub na straż do seraju. Wszystko odbywa się potajemnie, żeby nie dawać sposobności do tych scen, które do głębi duszy wzruszają europejskich świadków na publicznych targach.

Opis jednego z takich targów, które wam tutaj podam, wyjęty jest z listu jednego misyonarza:

„Kiedy wspominam o Udżidżi — pisze Ojciec Guilleme ze stacyi Kibaga nad Tanganiką — należy się słowo o tem powiedzieć; niepodobna mi jednak tak go opisać, jak go widziałem; pióro wypada z ręki, gdy się ma opisać niegodziwości, które się tam popełniają... Udżidżi jest najsilniejszem siedliskiem arabskiem nad Tanganiką. Tam to podążają wszystkie karawany niewolników pochwytanych w środkowej części Afryki; ciągną ztąd do Zanzybaru, gdzie znów zgromadzają się wszyscy metysi muzułmańscy i radzą. w której stronie kraju mają rozpocząć połów; ztamtąd też wyruszają wszystkie bandy łupieżców, które obecnie zalewają Manijemę i niszczą do reszty ten kraj, niegdyś tak ludny i rozkoszny. Ta druga Sodoma jesł widownią wszystkich zbrodni, niegodziwości i występków. Nieszczęsny był to dzień dla Afryki, kiedy muzułmanie wstąpili do jej wnętrza. Oni tam zaszczepili swoją niemoralną religię, pogardę dla murzynów i haniebne choroby dotychczas murzynom nieznane.

Zwiedzałem nieraz po kilka razy targowisko w Udżidżi; w tych czasach nie byli jeszcze niewolnicy tak liczni i nie widziałem jeszcze całej ohydy tego handlu. Ale w ostatniej mojej podróży miasto zalane było karawanami w całem znaczeniu tego wyrazu; szły one z Manijemy, Marungi, Uwiry i z Ubwary. Ze względu na ogromną ilość, cena niewolników była niską, mówiono mi, że za bardzo lichą cenę mogę część ich wykupić. Wszyscy prawie byli barpzo nędzni, wycieńczeni drogą i głodem; nie wielu z nich mogło przebyć jezioro i dostać się do misyi. O jakże okropnie bolałem wtedy nad tem, że byłem taki biedny! Nie miałem ich za co wykupić i musiałem poprzestać na kilku zaledwie ludziach, jakich z naszej okolicy porwano a po których przybyłem i których już poduczyliśmy trochę.

Plac pokryty był niewolnikami na sprzedaż. W największym nieporządku w długich szeregach stali mężczyźni, kobiety i dzieci; jedni okuci, drudzy powiązani postronkami. Niektórym z Manijemy przekłuto uszy, przez które przeciągnięto cienką nitkę, aby się lepiej razem trzymali.

Po ulicach spostrzegać się dawały chodzące szkielety, które się wlokły przy pomocy kija. Nie wiązano już takich, bo nie mieli siły uciekać. Cierpienie i wszystkie możebne nędze malowały się na ich wychudzonych twarzach, a wszystko wskazywało, że raczej z głodu niż z choroby umierają. Szerokie blizny na ich plecach mówiły o nielitościwem obchodzeniu się z nimi ich panów; nie oszczędzono im rózg, aby ich zmusić do maszerowania.

Niektórzy niewolnicy leżeli na ulicy, przed domami swych panów, a ci przewidując bliski ich koniec, nie dawali im już żadnego pożywienia. Stawcie się w mojem położeniu i chciejcie — bodaj na chwilę — to uczuć, co czuje serce misyonarza na taki widok; ci nieszczęśliwi, bez znajomości naszego miłościwego Boga, umierają bez pociechy i nadziei, któraby ulżyła ich cierpieniom... Oto ile dusz ginie tak marnie z braku misyonarzy i z braku zasobów do wyswobodzenia tych nieszczęśliwych!

Szczególniej od strony jeziora Tanganika, w przestrzeni nieurodzajnej, pokrytej wysokiemi trawami i oddzielającej targowisko od brzegów jeziora, dają się widzieć okropne skutki tego ohydnego handlu. Przestrzeń ta jest cmentarzem Udżidżi albo raczej wielkiem śmieciskiem, gdzie wrzucają trupy niewolników zmarłych albo konających. Hyeny, bardzo liczne w tym kraju, zajmują się ich pogrzebem. Nieznający jeszcze dobrze miasta młody jeden chrześcijanin, zbliżył się do brzegów jeziora; w krótce jednak cofnął się z przestrachu na widok tylu trupów wzdłuż drogi, na wpół pożartych i poszarpanych przez hyeny i drapieżne ptactwo. Był to widok straszny, przerażający! Pyta tedy Araba, którego był spotkał, dlaczego widać tyle trupów w okolicy Udżidżi i dlaczego tak blisko miasta.

Na to odpowiedział mu Arab, ale tak spokojnie. jakby to o najprostszą rzecz w świecie chodziło:

Dawniej rzucaliśmy tutaj trupy naszych zmarłych niewolników i co noc sprzątały je hyeny, ale tego roku tak wiele jest zmarłych, iż im hyeny nie mogą dać rady; obrzydło im ciało ludzkie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wolność katolików w Bawaryi.

W sprawie zjazdu katolików bawarskich, który się miał odbyć zeszłego miesiąca w Monachium, tak pisze *Kuryer poznański:*

Wiadomo, jaką wolnością cieszą się protestanci w katolickich krajach. Nikt im nie przeszkadza w budowaniu kościołów i szkół, a nadewszystko mogą odbywać zjazdy i zebrania. Wystawmy sobie, coby się działo, gdyby znany protestancki „Adolf-Verein„ nie mógł odbyć zgromadzenia n. p. w Kolonii lub w Wiedniu. Żydowsko-liberalnie i protestanckie dzienniki podniosłyby okrzyk zgrozy na ucisk, nietolerancyą itd. Czyż kiedykolwiek doznawali żydzi przeszkód w zebraniach? A cóż powiedzieć o masonach? Zdrowy rozum powiada, że katolicy powinni doznawać równouprawnienia, tem więcej, że nie dążą do tworzenia rewolucyi. Niestety! praktyka inaczej nas poucza. W tym roku miał się odbyć zjazd katolików w stolicy bawarskiej, w Monachium. W ogóle odbyło się 36 katolickich zjazdów w Niemczech, z tych 6 w Bawaryi, a 2 w Monachium, a nikomu nie przyszło na myśl, aby te zjazdy mogły zamącić spokojność i wywierać wpływ szkodliwy. W tem nagle spadła wiadomość, jak grom z nieba, że książę rejent bawarski nie życzy sobie, aby zjazd odbył się w Monachium i dlatego wystósował do Arcybiskupa monachijskiego list, w którym twierdził wyraźnie, że zebranie katolików mogłyby się przyczynić do niepokojów. Groził nawet rejent, że w razie niezastósowania się do jego życzeń, przedsięwziąłby środki zaradcze.

Różne są zdania o tych środkach zaradczych. Jedni sądzą, że w ogóle wydanoby zwyczajny zakaz, aby nie odbywać w Monachium zebrania katolickiego. inni zaś twierdzą, że rejent nie pozwoliłby brać udziału wyższym urzędnikom i tym wszystkim, którzy są od rządu zawiśli. Sprawa tego zakazu jest z wielu miar nader charakterystyczną i ciekawą. Bawarya jest w $^3|_4$ części katolicką,. a w Monachium nawet ledwie $^1|_6$ część mieszkańców należy do niekatolików, mimo to zachodzi niezwykły wypadek, że na życzenie księcia rejenta zjazd katolicki nie przyszedł do skutku. Jestto ciekawy objaw teraźniejszych prądów, piętno czasu dowodzące, że walka kulturna, choć nie istnieje z imienia, w praktyce jeszcze trwa dalej. Powszechnie uważają wszyscy, że głównie minister bawarski, Lutz*), wpłynął na księcia rejenta, aby nie dopuścił odbycia zjazdu. Ex-minister Lutz jest z imienia katolikiem, ale dzieci wychowuje po protestancku, a wiadomo, że w czasie tak zwanej walki kulturnej za jego sprawą powstała ustawa, karząca księży za rzekome opieranie się rozporządzeniom władzy. Ministrowie bawarscy dążyli zawsze do władzy nad Kościołem katolickim; Lutz przed kilku miesiącami oświadczył. że jeden z dogmatów Kościoła katolickiego zagraża niebezpieczeństwu państwa. Dążność ta jest zresztą ogólną w całej Europie. W państwach z przeważną ludnością katolicką, jak n. p. w Włoszech, Francyi, Hiszpanii i Niemczech katolicyzm przechodził i przechodzi ciężkie koleje, a nawet w katolickiej Austryi różnie się działo. W Węgrzech żąda władza, aby księża katoliccy, jeżeli się odważą chrzcić dzieci z mięszanego małżeństwa, donosili o tem urzędownie odnośnym pastorom. W Bawaryi ogół narodu, a nawes protestanci, nie życzą sobie hegomonii Prus, ale znaczna część inteligencyi, mianowicie niedowiarki i wszyscy urzędnicy dążą do ścisłego związku z Berlinem, a Lutz był jednym z pierwszych i najwytrwalszych pracowników w tym kierunku. Bismarck ze wszech sił popierał zlanie się południowych Niemiec z północnemi, nie przebierając w środkach, aby w ten sposób niszczyć wpływ katolicyzmu. Uwagi godnem jest to, że przeciwnicy zjazdy chcieli się odwołać na powagę Papieża. że chętnie się godzi na nieodbycie wiecu katolickiego w Monachium. Jestto fałsz, dowodzący wymownie, że przeciwnicy chodzą krętemi drogami. W końcu z boleścią należy zapisać, że nader wpływowe osobistości katolickie nie dopełniły swego obowiązku i nie okazały wcale cywilnej odwagi w obronie nie tylko praw Kościoła, ale i w obronie praw obywatelskich. Dotknęło i to ciężko wszystkich katolików. że wystąpił przeciw zjazdowi katolickiemu członek rodziny Wittelsbachów, która położyła wiekie zasługi dla religii katolickiej.

*) Obecnie już ustąpił ze swego urzędu ten przyjaciel Bismarka, ku nie małej radości katolików bawarskich.

Ośmiogodzinna praca.

Jednem z haseł, które aranżerowie święcenia 1 maja na swoim wypisali sztandarze, była ośmiogodzinna praca. Nie da się zaprzeczyć, że wszystkie ich hasła dobrze były obrane i obmyślane, bo pochlebiając masom krótkowidzącym zakrywały swoją pseudohumanitarnością prawdziwe cele i zamiary tych, którzy oderwawszy setki i tysiące od pracy i utworzywszy z nich pokaźną siłę, gdzieindziej i na inne tory ruch robotników skierować chcieli. Jedynie tylko energii rządów i dobrze obmyślanym środkom zaradczym zawdzięczać należy, że tak groźny dla wszystkich *1. maj* przebiegł spokojnie. Zastanówmy się nad żądaniami robotników — a w pierwszym rzędzie nad żądaniem powszechnego zaprowadzenia ośmiogodzinnej pracy.

Pośród innych, nieraz wprost bezmyślnością nacechowanych żądań — niepośledaie miejsce zajmuje i żądanie unormowanie dnia roboczego na 8 godzin. Bo czyż w ogóle szablonowo da się unormować ta kwestya? Właśnie szablon taki 8 godzin

dla każdej pracy byłby największą niesprawiedliwością. Różne są rodzaje pracy, różnego wymagają one natężenia fizycznego i bardzo nierównie absorbują siły człowieka. Jeżeli n. p. kowal 8 godzin dzierży w swej dłoni ciężki młot — nię powiemy, żeby on za krótko pracował — i owszem może nawet ośmiogodzinna praca jest dlań za uciążliwa; ale przeciwstawmy temu kowalowi np. młynarza; tego z pewnością i 14-godzinna praca znużyć fizycznie nie może i czyż więc słusznąby rzeczą było i sprawiedliwą, by ci dwaj robotnicy mieli unormowaną 8-godzinną pracę — a może i za równe wynagrodzenie? Czy górnik we wnętrznościach ziemi ciężko pracujący, lub robotnik we fabryce wyrobów metalowych, ma być pod tym względem na równi traktowany z krawcem lub piekarzem? Ustanowlenie maxymalnego czasu pracy dla każdego zatrudnienia, dla każdego rzemiosła, dla każdego rodzaju pracy w szczególności, byłoby rzeczą naturalnie wskazaną, boby z uwzględnieniem sił robotnika położyło koniec wyzyskiwaniu jego przez niesumiennego nieraz pracodawcę — ale ustanowienie szablonu ośmiogodzinnego dla wszystkich, nie wytrzymuje krytyki. Ośmiogodzinna praca jest dla niektórych rodzajów pracy nawet za długą i dla innych zaś bezwarunkowo za krótką. A i tu życzenie samych robotników nie powinno i nie może rozstrzygać; inne czynniki a głównie ukształtowanie się cen wyrobów główną tu rolę powinny odgrywać.

Dziś cena produktów przemysłu wskutek szalonej konkurencyi przedsiębiorców tak się obniżyła, że przedsiębiorca tylko w wyzyskiwaniu robotnika i przedłużonej pracy tego robotnika wynagradza sobie ten ubytek, który mu konkurencyjna walka zabrała. Reforma musi się zacząć od góry. Pierwej prawo musi zabronić fabrykantom i przedsiębiorcom, aby nie zarzucali targu towarem lichym o cenach nieraz bajecznie niskich — a potem dopiero o gruntownej poprawie bytu robotnika, o skróceniu pracy mowa być może. Dawna instytucya cechów normująca cenę wyrobów, która wszystkich członków obowiązywała i w ten sposób nieuczciwej konkurencyi tamę kładła, byłaby odpowiednio zreformowana, może najlepszem rozwiązaniem tej kwestyi.

Jeśli się zastanowimy nad tem, dlaczego, kiedy cechy jeszcze kwitnęły — rzemiosło i przemysł złoty wiek święciło, dlaczego obecnie, kiedy maszyny, kiedy ulepszone narzędzia ułatwiają pracę człowieka, dlaczego przy tak długiem trwaniu pracy — przemysł fabryczny tak małe wykazuje zyski, natrafimy na dwa czynniki, które zyski producentów sprowadzają do minimum, a obciążają nieproporcyonalnie robotnika. A czynnikami tymi są:

1) Nadzwyczaj kosztowny aparat rządowy połączony z olbrzymim wydatkiem na utrzymanie armij, a wskutek tego wygórowane do niezwykłej wysokości podatki — a 2) olbrzymie kapitały obrotowe, rzucone w przedsiębiorstwa przemysłowe. Te miliardy kapitałów obrotowych wymagają według nowoczesnej ekonomii swoich procentów — a te procenta dać im może jedynie i daje istotnie tylko ciężka praca ręczna i umysłowa.

Dawniej zysk wyrobu przemysłowca szedł do podziału tylko między dwa czynniki: przedsiębiorcę i robotnika, dziś zasiada z nimi do stołu trzeci towarzysz o nadzwyczaj dobrym apetycie i mocnych zębach i pożera on sporą porcyę na niekorzyść najsłabszego uczestnika tej uczty t. j. robotnika, który zwykle nie syty — musi pracować dla zaspokojenia swych potrzeb i nocą jeszcze, a gdy i tego za mało, ciągnie ze sobą i żonę i dziecko i zaprzęga je do ciężkiej pracy na chleb powszedni. To są skutki tej osławionej „wolności przemysłu“, która zwróciwszy ogromne kapitały na pole przemysłu, sprowadziła deprecyacyą produktów przemysłu przez swą szaloną konkurencyę, sprowadziła zaprowadzenie kilkonastogodzinnej pracy, przy niskiem stosunkowo wynagrodzeniu, sprowadziła wyzysk robotnika na rzecz kapitału i stworzyła tak groźną kwestyę socyalną. Nie da się więc ta kwestya załatwić doraźnie; reforma stosunków tych musi być nadzwyczaj oględnie i powoli przeprowadzaną, a z państw europejskich zapewne Austrya w tym kierunku już najdalej zaszła. Najnowsze przedłożenie rządowe w Niemczech, obracające się w ramach uchwał berlińskiego kongresu międzynarodowego odbytego w marcu, jest opracowane na podstawie podobnej ustawy u nas już obowiązującej. Enuncyacye przedstawicieli rządowych w wiedeńskiej Radzie państwa wygłaszane przy debacie budżetowej przekonują nas, że rząd tą sprawą się gorliwie zajmuje i wnet do nowych reform na tem polu przystąpi.

---

† Ś. p. ks. dr. Juliusz Dinder
Arcybiskup gnieźnieńsko-poznański.

Przedostatniego dnia miesiąca maja, przyniosły nam telegraficzne druty smutną a niespodziewaną wiadomość z Poznania, że Arcypasterz gnieźnieńsko-poznański najprz. ks. dr. J. Dinder zakończył nagle pielgrzymkę swego ziemskiego żywota.

Jakiekolwiek może kto mieć zapatrywania osobiste, przyznać jednak musi, że zmarły Arcypasterz w ciągu swych czteroletnich rządów okazywał wiele dobrej woli, przywiązania do swych owieczek, że rozumiał potrzeby swych archidyecezyj i wszędzie, gdzie mógł tylko czynił im zadość. Że za jego rządów nie wszystko zmieniło się na lepsze — to nie było jego winą wyłącznie, gdyż znalazł się wobec niezmiernie trudnych stosunków, które przełamać nie zawsze było w jego mocy. Powołany życzeniem Stolicy św. na następcę Łaskich, Gembickich, Łubieńskich, opuścił ks. Dinder skromną posadę proboszcza w Królewcu i przybył do Polaków i zaraz przy pierwszym zetknięciu się z wiernymi, dnia 8 czerwca 1886. w czasie intronizacyi w Poznaniu, oświadczył, że chce być dobrym pasterzem i pragnie by węzeł wzajemnej miłości połączył go z owieczkami jego, Polacy z początku z niechęcią pewną spoglądali na następcę ks. kardynała Ledóchowskiego, wnet jednak przekonali się, że błędne mieli o

swym Arcypasterzu pojęcie, gdyż ten, choć Niemiec z rodu, wrogiem jednak ich narodowości nie był ani też narzędziem rządowem, jak to sam niejednokrotnie na różne podłe insyunacye oświadczył mówiąc: „jestem Biskupem katolickim, pasterzem, a nie najemnikiem“.

To też wiadomość o jego śmierci powszechny wywołała żal w sercach wiernych, czego dowodem były tłumu ludu spieszące do pałacu arcybiskupiego, by jeszcze raz zobaczyć oblicze swego Arcypasterza. Dnia 2 czerwca przeniesiono zwoki ks. Dindera do kościoła, a następnego dnia po odprawieniu Mszy św. i żałobnych obrzędów złożono je w grobach arcybiskupich, znajdujących się w kaplicy N. Panny. Po pogrzebie nastąpił wybór administratora: ks. Biskupa-suffragana: Likowskiego. (W Gnieźnie wybrano ks. kan. Krausa).

A teraz podamy jeszcze kilka dat z życia zmarłego arcypasterza. Ś. p. ks. dr. Julian Dinder urodził się dnia 9 marca r. 1830, w Reszlu w ziemi warmińskiej. Studya odbył w Brunsberdze, był następnie wikaryuszem w Biskupcu, a późnie proboszczem w Gryźlinach. W roku 1868 otrzymał probostwo w Królewcu, a w r. 1886 dnia 3 maja pojawił się w jego mieszkaniu niespodzianie naczelny prezes regencyi królowskiej z oznajmieniem, iż upatrzono go na następcę po ks. kardynale Ledóchowskim. Ks. Dinder nie mógł wyjść ze zdumienia i w najwyższem był zakłopotaniu; opierał się też długo przyjęciu tej godności i uległ dopiero wyraźnemu wezwaniu Stolicy św. Nie długo jednak mógł pracować na nowem stanowisku, bo snać już od dawnego czasu zagnieździła się w nim choroba żołądkowa, która dnia 30 maja o godzinie 1. popołudniu przecięła pasmo dni jego. Bezpośrednią przeczyną śmierci, był, jak się pokazało przy sekcyi zwłok, przedsięwziętej w celu balsamowania ciała, krwiotok mięszowy (kapilarny), wywołany chorobą cukrową. Nie możemy tu pominiąć milczeniem ohydnego oszczerstwa, jakiego sobie znowu pozwolił *Kuryer Lwowski*, donosząc o śmierci tego Dostojnika. Liberalno-żydowski ten organ napisał wyraźnie, że ś. p. ks. Dinder umarł z pijaństwa, gdyż od dłuższego czasu oddawał się trunkowości (sic.). Na takie bezczelne kłamstwo nawetby i plunąć nie wartało, gdyby była mowa o jakimkolwiek głośniejszym człowieku, a nie dopiero o jednym z najwyższych dostojników kościelnych. Ciekawiśmy bardzo, zkąd *Kuryer* zaczerpnął taką wiadomość, skoro poznańscy lekarze panowie: dr. Osowicki, dr. Jerzykowski i dr. Holtzer stwierdzili jednogłośnie przy sekcyi zwłok, że cukrzyca, a nie co innego spowodowała śmierć ks. Dindera. Nawet poganie oburzyliby się na takie oczernianie zmarłego Księcia Kościoła, jakiego sobie pozwoliło to pismo brukowe, które nietylko nie powoduje się ich zasadą: *de mortuis nil nisi bene* (o zmarłych nie mów nic złego) — ale jeszcze wymyśla ohydne fałsze, zaczerpnięte zdaje się od jego siostrzyczek wiedeńskich wyznania mojżeszowego.

I niech teraz kto powie, czy to zaszczyt dla narodu polskiego, że się karmi płodami takiego *Kuryera!* a przecież znajduje i on nie mało współeczeństwie naszem obrońców, którzy lepiejby z pewnością zrobili, gdyby wyrzekli się swej narodowości, bo jej chyba tylko wstyd przynoszą popierając takie pismo.

Nowi kardynałowie.

„*Unita Cattolica*“ podaje następujące krótkie rysy biograficzne z życia prałatów papieskich, którzy w tych dniach kapelusz kardynalski otrzymać mają.

Msgr. Wincenty Vannutelli, tytul. arcybiskup Sardesu inuncyusz apost. w Lizbonie, urodziłsię d. 5. grudnia 1836 w Genazzano, w dyecezyi Palestryńskiej, był za Piusa IX podsekretarzem, za Leona XIII audytorem św. Roty, następnie w roku 1880 został Arcybiskupem, apostolskim delegatem i wikarym patryarchalnym w Konstantynopolu. W r. 1883, jako reprezentant Jego Świątobliwości, był na koronacyi Aleksandra III w Moskwie. Po tej misyi otrzymał nuncyaturę w Lizbonie.

Msgr. Sebastyan Galeati, arcybiskup Rawenny, urodzony 18. lutego 1822 w Imoli, spędził młodość w Rzymie, jako doktor obojga praw, poświęcił się stanowi duchownemu, został księdzem i wikarym generalnym w Aqua pendente, następnie kanonikiem w Imoli, w roku 1886 Biskupem Maceraty i Tolentina, w roku 1887 Arcybiskupem Rawenny.

Msgr. **Kasper Mermillod**, biskup Lozanny i Genewy, ur. 22 września 1824 w Carouge w kantonie genewskim, został w roku 1864 tytularnym Biskupem Hebronu i wikarym generalnym w Genewie, a po zniesieniu tego wikaryatu przeniesiony na stanowisko biskupa Lozanny i Genewy z siedzibą w Fryburgu. Ma on wkrótce po otrzymaniu kardynalskiej godności przenieść się na stałe do Rzymu, skutkiem czego dzisiejsza stolica jego biskupia zawakuje.

Msgr. Albin Dunajewski, Książe-biskup krakowski, brat ministra skarbu w Austryi dr. Juliana Dunajewskiego, urodzony 1 marca 1817 w Stanisławowie w Galicyi, był prałatem domowym Jego Świątobliwości i piastował rozmaite urzęda do 15 maja 1879, kiedy mianowany został Biskupem krakowskim.

Katolickie pojęcia „Dziennika Polskiego“.

Zatarg religijny na Węgrzech, wynikły ze znanego rozporządzenia ministra wyznań hr. Csaky'ego, według którego kapłan katolicki, chrzczący dziecię zrodzone z małżeństwa mieszanego, ma donieść o tem osobną cedułką dotyczącemu duszpasterzowi (?) czyli protestanckiemu lub kalwińskiemu pastorowi, by ten drugi a nie on wpisał je do aktów metrykalnych, wywołało i wywołuje w prasie liberalnej cały szereg artykułów, powstających nie

na dekret rządowy, ale na postępowanie tamtejszego katolickiego Kleru, który gorliwie broni praw Kościoła swojego. Że takie *„Tagblatty“*, *„Nowe Pressy“* i inne żydowskie piśmidła ujadają na Kler węgierski, temu się wcale nie dziwimy, boż to ich zadaniem walczyć przeciw Kościołowi, ale że *„Dziennik Polski“* wtóruje im w tem wyciu, to już i oburza i dziwi bardzo. Oburza, że to czyni pismo polskie, przyznające się do katolicyzmu, a dziwi, że tak mało posiada znajomości zasad katolickiego Kościoła, że brak mu elementarnej wiedzy katechizmowej. Fakt ten zaznaczyliśmy już w p przednim numerze, wspominając w artykule pod tyt.: „Złote słowa“ o znanem wyznaniu wiary hr. Falkenhayn'a, a teraz podajemy jego potwierdzenie, smutno świadczące o katolicyzmie naszych pism galicyjskich. W 159 numerze z d. 10 b. m. umieścił *„Dziennik Polski“* artykuł p. t.: „Małżeństwa mieszane na Węgrzech“ gdzie występuje z iście antikatolicką propagandą, nie wiedzieć tylko w czyim interesie. Podawszy na początku krótkie objaśnienie całej sprawy, pisze, że nowsze ustawy rządu węgierskiego normujące wyznanie dzieci małżeństw mieszanych w ten sposób, że synowie mają przyjmować wyznanie ojca, a córki matki, „otwierało szerokie pole intrygom (sic) klerykalnym rozmaitych wyznań, które usiłowały sobie zdobywać większą liczbę wiernych“. Nie trzeba być zbyt domyślnym, by odgadnąć, do kogo *„Dziennik Polski“* adresuje te słowa „intrygi klerykalne“; nie jest to bowiem tajemnicą, jak się pokazuje z dalszego ciągu artykułu. Owymi „intryygantami“ nie jest tu nikt inny, tylko Kler katolicki, który wszelkiemi siłami z obowiązku swego starał się o to, by wedle przepisów Kościoła katol. dzieci takie wychowane były w jego zasadach i to nazywa *„Dziennik Polski“* intrygą! Piękne — nie co mówić — pojęcie nauki katolickiej i praw kościelnych! Taka intryga (!) nie podobała się hr. Csaky'emu, więc »w celu zapobieżenia — jak pisze *„Dziennik Polski“* — różnym nieporozumieniom« wydał znane rozporządzenie. Czy taki był istotny cel, bardzo wątpimy, prawdopodobniejszem jest, że nie małą rolę odegrały tu wpływy kalwinów węgierskich, mających dziś tam nie małe znaczenie. Ale mniejsza o to, dość, że to rozporządzenie wywołało sprawiedliwy protest ze strony Duchowieństwa, na którego czele stanął, jak się godziło ks. kard. Simor, prymas węgierski, a poparła go w tym kierunku — jak się wyraża *„Dziennik Polski“* — cała prasa „ultramontańska“ w Cis- i Translitawii. Zjadliwe i pełne szykany te wyrazy *„ultramontanizm“* — *„ultramontański“*, wyrywają się dość często *„Dziennikowi“*, a świadczą wybitnie o jego usposobieniu katolickiem, boć przecież nie co innego oznaczają te słowa w ustach liberałów, tylko prawdziwy katolicyzm. Kto stoi wiernie przy Kościele, kto broni śmiało praw jego, ten jest już ultramontanem u naszych wolnomyślnych. Taki ultramontanizm nie podoba się *„Dziennikowi“*, wolałby on widzieć Duchowieństwo węgierskie poddające się pokornie rozporządzeniu ministeryalnemu i pracujące w interesie kalwinów, a nie Kościoła, dla tego, pisze dalej, że Stolica Apostolska, do której odniosło się Duchowieństwo, nie ma, podobnie jak rząd węgierski, żadnej przyczyny do zainicyowania walki wyznaniowej, czyli że nie poprze jego zamysłów rozpoczęcia wojny z rządem, albo, co na jedno wychodzi, że dozwoli, by kapłan katolicki chrzcił dziecko i takowe oddawał potem pastorowi kalwińskiemu. Biedny, prawdziwie biedny ten *„Dziennik Polski“*! skoro sądzi, a może i wierzy, że Stolica Apostolska poprze rząd w tak wrogiej Kościołowi sprawie! Nie wiedzieć teraz, czemu przypisać całą tę bezmyślną gadaninę, czy złej chęci, czy ignorancyi, czy jak się zdaje, jednemu i drugiemu. *D.*

Wiadomości ze świata.

Ziemie polskie. Znana jest zaciekłość organów niemieckich w prześladowaniu języka polskiego w szkole ludowej w Poznańskiem. Germanizowanie polskich dzieci znalazło obecnie nowych nieprzyjaciół i to potężnych, a to w samych inspektorach szkolnych — dobieranych przez rząd jak wiadomo, ze samych „polenfresserów“; względy dydaktyczne, a może i poczucie sprawiedliwości przeważyły tym razem nad innemi pobudkami i konferencya inspektorów okręgowych księstwa Poznańskiego obradująca z początkiem maja rozstrzygnęła na korzyść polskiego języka i polskości dzieci dwa następujące pytania:

1. Czy może rząd (germanizacya) spodziewać pomyślnych rezultatów ze zarządzenia, aby dzieci polskie, mówiące w domu po polsku, jednakże noszące niemieckie nazwisko rodowe, uważać za niemieckie i odpowiednio do tego w szkole jako niemców traktować? i

2. Jakiby wpływ wywarło wprowadzenie napowrót języka polskiego w szkole ludowej, uczęszczanej przez dzieci polskie na wychowanków, a głównie na naukę języka niemieckiego?

Na pierwsze pytanie odpowiedziało zgromadzenie, że rząd (germanizacya) najmniejszego rezultatu z iście drakońskiego tego rozporządzenia dotąd nie odniósł, ani też go w przyszłości spodziewać nie może; przy drugiem pytaniu oświadczyło się $^3|_5$ zgromadzenia za wprowadzeniem języka polskiego napowrót do szkoły ludowej: To orzeczenie znającego stosunki szkolnictwa ciała daje nam poniekąd nadzieję, że może wnet nadejdzie czas, że rząd pruski będzie zmuszony sprawiedliwie rozstrzygnąć tę żywotną dla Polaków kwestyę, w każdym razie pan minister Gossler nie pomało się zadziwi, że właśnie ci ludzie, których on wybrał i do Poznańskiego posłał, aby tam stosownie do jego rozporządzeń germanizowali, oświadczają się przeciw dotychczasowemu systemowi i potępiają go niejako. Z drugiej strony pocieszającą jest dla nas wszystkich rzeczą, że wychowanie domowe pielęgnuje u dzieci duchu narodowego, że żadne, choćby najsurowsze rozporządzenia szkolne, nie zdołają go w dzieciach naszych wykorzenić i sami prześladowcy przychodzą do poznania, że

wszystkie środki przez nich w tym względzie podjęte są bezowocne.

Sprowadzenie zwłok Mickiewicza. Przed kilku laty w łonie akademików krakowskich podniesiono myśl sprowadzenia do Krakowa zwłok największego naszego wieszcza Adama Mickiewicza która z końcem czerwca przecież się urzeczywistni. Wydział krajowy wezwany przez komitet krokowski objął przewodnictwo w tej narodowej uroczystości i postanowił koszta, o ile dotąd uzbierane i płynące datki okażą się niewystarczającymi, pokryć z funduszu krajowego. Ułożenie programu tej uroczystości narodowej, jakoteż ostateczne ustanowienie jej terminu pozostawił Wydział krajowy subkomitetowi, złożonemu z wybitnych osobistości zamieszkałych w Krakowie, do którego składu wchodzi także książę Biskup krakowski. Specyalny Delegat i zastępca członka Wydziału krajowego Antoni hr. Wodzicki, zastępować będzie w tym subkomitecie naszą najwyższą władzę autonomiczną.

Subkomitet ten znosić się będzie z władzami, o ile ich ingerencya będzie potrzebną, ma u władz szkolnych uprosić uwolnienie uczniów wszystkich szkół od nauki szkolnej i znieść się z Ordynaryatami biskupimi w tym celu, aby w dniu tym uroczystym dla narodu odbyły się we wszystkich kościołach nabożeństwa.

Po zwłoki pojedzie do Paryża deputacya złożona z jednego członka Wydziału krajowego, dr. Asnyka i delegata akademików krakowskich. (Szkoda wielka, że w skład tej delegacyi nie wchodzi ani jeden reprezentant stanu wieśniaczego. *Przyp. red*).

Wszystkie koła społeczeństwa naszego przygotowują się do wzięcia udziału w tem święcie narodowem, a Towarzystwo ochrony własności ziemskiej w Wadowicach rozwinęło nader chwalebną czynność, by zgromadzić jak najwięcej ludu ze wszystkich okolic naszej Polski i wydało odezwę do gmin polskich, by przesyłały kłosy i liście z niw i borów swoich na uplecenie olbrzymiego wieńca dla wieszcza, którego najgorętszem marzeniem było:

kiedyś dożyć tej pociechy,
„By jego księgi zbłądziły pod strzechy".

Nie wątpimy, że udział wszystkich stanów w uroczystości tej będzie wielki, że manifestacya ta będzie godna naszego narodu i godna nieśmiertelnego naszego Adama, nie wątpimy, że każdy, komu środki i stosunki pozwolą przyczyni się, o ile może do uświetnienia tego obchodu.

Kronika kościelna.

Rzym. Dnia 20 b. m. odbędzie się papieski konsystorz tajny a 23 publiczny. Na pierwszym zamianuje Ojciec św. nowych kardynałów a na drugim udzieli kapelusza kardynalskiego tym nowym Purpuratom, którzy przybędą do Rzymu. Szkarłatne *zuchetto* dla J. E. księcia-biskupa Dunajewskiego, przywiozą: *ks. Meszczyński*, sekretarz J. Em. ks. kard. Leduchowskiego i gwardzista papieski *Cavaletti*. — Powiadają, że Ojciec św. postanowił wysłać do wszystkich dyecezyj *okólnik* zawiadamiający iż przyszła Conclawe zbierze się w Rzymie; gdyby zaś podówczas Włochy toczyły wojnę z którémkolwiek trzech państw posiadających prawo „veto" przy wyborze Papieża, w tym wypadku odbył by się wybór Papieża na wyspie Malcie.

— W sławnej bibliotece watykańskiej znajduje się hebrajska biblia nieocenionej wartości. Już r. 1512 żydzi Papieżowi Juliuszowi II ofiarowali za tę biblię, która waży 325 funtów, tyleż funtów złota. Ich oferty nie przyjęto. Dnia 13 maja br. odbyli najbogatsi żydzi w Paryżu posiedzenie, na którem postanowili Ojcu św. Leonowi XIII ofiarować za tę biblię jeden milion franków.

— Biskup djakowarski X. Strossmayer wyjechał z powrotem do swej dyecezyi. Przed odjazdem odbywał narady z Propagandą o utworzenie słowiańskiego seminaryum, któreby dostarczało misyonarzy dla szerzenia katolicyzmu na półwyspie bałkańskim.

Austrya. *Rada kościelna starokatolików austryackich* podniosła projekt dziwaczny, by ustanowić biskupstwo starokatolickie, na pamiątkę niedawno zmarłego Döllingera. Naturalnie, że drogą składek fundsz ma być uzbierany i rzekomo Gladstone pierwszy miał na ten cel złożyć 10 ft. szterlingów.

Mimo wielu dziwactw tego sławnego męża stanu, uważamy go za zbyt poważnego, by miał brać udział w takiej komedyi. Rzecz znajoma, iż Dölliger za życia nigdy nie przekroczył progów kościoła jakiego starokatolickiego, ani w zgromadzeniach i nabożeństwach starokatolików udziału jakiegokolwiek nie brał. Że mimo to on ma się stać pierwszym świętym patronem starokatolików, łatwo to zrozumiemy, gdy zważymy dawne dictum: Nequitia nequitiam quaerit — et invenit.

— *Na nową konferencyę* mają się zebrać Biskupi w klasztorze św. Floryana koło Linzu. Czas tego zebrania jeszcze nie jest oznaczony.

Ziemie polskie. W dzień ingresu X. Jaczewskiego, biskupa lubelskiego do Lublina, duchowieństwo tejże dyecezyi oddało nowemu pasterzowi w darze: krzyż złoty biskupi, sygnet z brylantem oraz konie i karetę.

„Przegląd katolicki" donosi, iż wskutek najwyższego carskiego rozporządzenia, ks. biskup Karol Hryniewiecki, b. pasterz dyecezyi wileńskiej, otrzymał pozwolenie na wyjazd za granicę bez powrotu. Jako pensyę roczną wyznaczono mu tysiąc pięćset rubli.

Wiadomości dyecezalne.

Archidyecezya lwowska ob. łać. Dnia 13. maja b. r. *zmarł* ks. Wojciech Gurowicz, jubilat, prob. w Martynowie, urodz. r. 1810, ord. 1833. — Administratorem zamianowano miejscowego dyrygensa ks. Leof. Lubaczewskiego.

Dyecezya tarnowska. *Odznaczony* exposit. canon. ks. Fr. Baliński proboszcz w Słupcu; *zamianowany* ks. W. Skopiński prob. w Padwi, notaryuszem dek. mieleckiego, a ks. Wnękowicz adm. w Bochni, katechetą przy szkole 6-klasowej męskiej tamże. — *Egzaminowi* konkursowemu pro

optin. benef. poddali się dnia 20 i 21 maja: ks. Fr. Górski, ks. J. Kowalski, ks. Fr. Wąsowicz i ks. J. Boxa; *Spensyonowano* ks. W. Komorowskiego prob. w Kasinie Wielk. *Święceń wyższych* (dyakonatu i subdyakonatu) udzielił najprzew. ks. Biskup dnia 8 i 11 czerwca. Przystąpiło do nich 17 następujących pastoralistów: 1) Adamczyk Józef, 2) Bryl Adam, 3) Chorążak Antoni, 4) Dutka Walenty, 5) Golonka Stanisław, 6) Gryl Floryan, 7) Gutfiński Franciszek, 7) Heller Adam, 8) Krzemiński Stanisław, 10) Orzechowski Bernard, 11) Palewski (Pałka) Józef, 12) Pawicki (Paw) Andrzej, 13) Sołak Jan, 15) Sulisz Andrzej, 15) Warzewski (Warzała) Adam, 16) Zapała Melchior, 17) Zygulinski (Zyguła) Michał. — *Zmarli*: ks. Ign. Wieniawa Długoszewski prob. i dziekan w Pilznie; kan. konor. kapituły tarnowskiej, urodz. 1819, ord, 1842 (od r. 1846—8 był więźniem stanu w Szpilbergu).— M. Kozłecki słuch. IV r. teol. zmarł w Chorzelowie.

Dyecezya przemyska. *Przeniesieni*: ks. J. A. Nagrodkiewicz z Rrzepiennika biskupiego do Żmigroda nowego; ks. Jan Szczerbiński ze Żmigroda nowego do Rzepiennika biskupiego. — *Prezentę* na prob. w Majdanie sieniaw. otrzymał ks. J. Rymer wik. w Jedłowej, a ks. Józef Cetnarski na prob. w Błozwi.

Dyecezya krakowska. *Zamianowany* ks. Fr. Gołba stałym katechetą przy szkole 6-klasowej żeńskiej w Wadowicach.

Z zakonu OO. Franciszkanów: O. C. Chęciński przeniesiony do Iwonicza na kooperatora, na czas sezonu kąpielowego.

Treść:

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stan. Baylego.